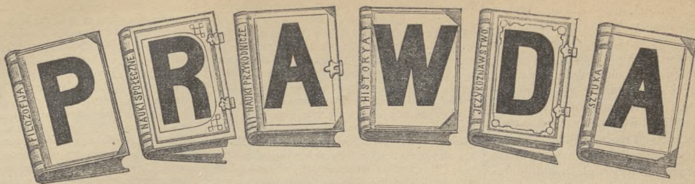
**Nr. 8.** Warszawa, dnia 21 (9) Lutego 1891 r. **Rok XI.**




**TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.**

**PRENUMERATA „PRAWDY“**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**

**Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.





## POLITYKA.

### B E Z   Z A S A D.

Zasady są dobre dla teoretyków, dla filozofów, dla ludzi niemających do czynienia z materyałem życia, ale nie dla polityków realnych. Tak odpowiadał Bismark, gdy mu zarzucano sprzeczności w twierdzeniach i dążnościach, gdy mu wytykano, że był to wolnohandlowcem, to protekcyonistą, to wodzem narodowo-liberałów, to konserwatystów, to przeciwnikiem papieża, to jego przyjacielem — itd. On nietylko nie miał zasad, ale ich mieć nie chciał, uważał je za wadę, za niepotrzebną przeszkodę. Według niego polityk „realny“ powinien pamiętać jedynie o tem, ażeby wyzyskać każdą sposobność, uderzać na przeciwnika słabszego, a sprzymierzać się z mocnym. Po za tą krótką regułą nie było dla Bismarka żadnych obowiązków, dogmatów, przekonań. Jeśli mógł zmiażdżyć anioła, miażdżył go, jeżeli djabeł zapewniał mu korzyść — wiązał się z nim. Nie rozumiał ani sympatyi, ani miłości, ani poświęcenia dla pewnych chorągwi i żywiołów, pokonywał kolejno: konserwatystów, liberałów, ultramontanów lub ich brał pod swą komendę, a w pewnych warunkach uznawał nawet możliwość sojuszu z socyalistami. Obojętnem mu było zupełnie, z czyjej ręki brał zysk, aby go dostał. W takiej ogołoconej z wszelkich zasad i uczuć naturze mogła tkwić tylko jedna idea — idea władzy, jeden popęd— samolubny. Z tych dwu pierwiastków, podniesionych do nadzwyczajnej potęgi, składał się cały Bismark. Dopóki rządził, zastępowały mu one: rozum, moralność, przekonania, mieniąc się złudnymi pozorami. Ale gdy ustąpił, a zwłaszcza gdy ze stanowiska prywatnego walczyć zaczął, dostrzeżono, że ten człowiek niczego nie reprezentuje, niczego nie wyraża, oprócz zaciekłego egoizmu. Ponieważ śród swej rzeszy wykształcił tylko lokajów, więc ci przeszli na służbę do nowego pana, a za nim nikt nie poszedł. Zaczął się skarżyć, że go opuścili nawet ci, którzy żyli z jego łaski, nie rozumiejąc, że skoro im już łaski okazywać nie mógł, niczem ich do siebie nie wiązał. Nareszcie niektórzy z dawnych bałwochwalców odezwali się czule do strąconego tytana, ale wkrótce przekonali się, że ich żadne powinowactwo do niego nie przyciąga, a wiele sprzeczności odpycha. Ani konserwatyści, ani narodowo-liberalni, ani ultramontanie nie znaleźli w nim swego człowieka, swego wodza, lecz Bismarka, ziejącego straszliwem, wiecznie głodnem samolubstwem, uważającego siebie za miarę i cel wszech rzeczy. Więc cofnęli się, a on pozostał samotnym, przerażająco samotnym, obsługiwanym z interesu, a bronionym nieszczerze przez dwa jedynie pisma, *Hamburg. Nachrichten* i monachijską *Allg. Zeitung*. Gazety dla złapania prenumeratorów zakładają na wędkę jakieś głośne nazwisko— powieściopisarza, poety, aktora, muzyka. Taką przynętę stanowi obecnie nazwisko Bismarka w dwu wspomnianych dziennikach — tylko w dwu, podczas gdy kiedyś był on patronem setek. Jest to rezultat nie utraty wysokiego stanowiska i władzy, nie zapomnienia o zasługach, ale braku zasad, które mszczą się obecnie na swym gwałcicielu i bluźniercy. Niemcy pragnęliby czcić Bismarka, bo mu zawdzięczają obecną swą potęgę materyalną, on sam wszakże tę cześć w nich tłumi, zabija, niemal wyszydza. Bo jeżeli przez 40 lat uczył ich wzgardy dla zasad, które nazywał gratami teoretyków, lekceważenia moralności, którą odsuwał w dziedzinę sentymentalizmu, a natomiast szacunku wyłącznie dla siły, to dziś, jako człowiek pozbawiony tej siły, sam nie zasługuje na ten szacunek. Według własnej logiki, o ile nie może rozkazywać, gnębić, deptać, niszczyć, jest niczem, zaledwie właścicielem rozległych dóbr w Niemczech i znacznych kapitałów złożonych w banku angielskim.

Oto dlaczego jego „fronda,“ miotanie się w ostępie, błyskanie kłami i rzucanie piany na kolumny dwu gazet przeciw rządowi i monarsze — nie przedstawia groźnego buntu i niebezpieczeństwa. Jest to Neptun bez morza, rzucający się i wzniecający burzę w niewielkiej zatoce. Jeżeli zaś Wilhelm II uczuł się dotkniętym jego złorzeczeniami, jeżeli je skarcił ostrem napomnieniem, jeżeli nawet kazał naradzić się ministrom nad środkami zapobiegawczymi, to w przedsięwzięciu takiego odporu więcej było chęci przytarcia rogów zuchwalcowi, niż obawy o skutki jego wystąpień. Skoro najzwyklejszy śmiertelnik, który zniesławia rząd, bywa pociągany do odpowiedzialności, tem bardziej ciążyć ona musi na człowieku, który odegrał wielką rolę, wywarł szeroki i głęboki wpływ, niedawno zdjął ze świata swój hypnotyzujący urok a nadto zużytkowywa w polemikach tendencyjnie tajemnice swego dawnego urzędu. Tu sama organizacya sprawiedliwości państwowej domaga się zadośćuczynienia. Napomknięto o prokuratorze, o „paragrafie Arnima“ (umyślnie wprowadzonym do prawodawstwa przez Bismarka przeciw zdradzie sekretów urzędowych) i o środkach sądowych, któreby zamknęły usta byłemu kanclerzowi; roześmiał on się i odrzekł, że go te groźby nie straszą. Nie przypuszczamy też, ażeby nawet mocniej podrażniony cesarz kazał postawić Bismarka przed sądem, dopóki ma poczucie swej mocy — a w Niemczech monarcha słusznie je mieć może — i dopóki widzi, jak krzyki „wasala brandeburskiego“ nie znajdują

w kraju odgłosu. Są to krzyki obrażonej i wściekłej miłości własnej, nie brzmią w nich idee, zasady, które jedynie zdolne są budzić i podniecać żywioły niezadowolone. Bismark woła na puszczy, a na puszczy nikt nigdy rewolucyi nie zrobił. Będzie on wytwarzał koło siebie mały wir, niezłączony z nurtem życia państwowego, będzie weń dalej wciągał rozmaite wióry i garście słomy, będzie mącił wodę, będzie puszczykiem polityki niemieckiej, wróżącym złe wypadki, będzie intrygował, drażnił, obrażał, napadał, ale do tych drgawek egoizmu naród i rząd powoli się przyzwyczają i coraz mniej będą na nie zwracać uwagi. Nawet tej miary człowiek bez władzy i bez zasad nie może stać się niebezpiecznym.

## Z AUSTRYI.

Dymisya ministra Dunajewskiego. — Czem był Dunajewski jako minister finansów i jakie znaczenie jego dla wewnętrznej polityki austryackiej. — Nowa taktyka rządu. — Ministeryum urzędnicze. — Ruch wyborczy w Wiedniu. — Ks. Lichtenstein renegatem.

Rząd austryacki zaczyna na nowo doskonalić się w sztuce, z której niegdyś słynął, a którą od r. 1848 zupełnie zaniedbywał: w sztuce tajenia swych zamiarów. Zaraz po rozwiązaniu parlamentu zgotował swym poddanym nową niespodziankę, która chociaż odnosiła się do jednej tylko osoby, miała większe jeszcze znaczenie, niż poprzednia: usunął Dunajewskiego. Dnia tego odbywało się przyjęcie w pałacu ministra finansów, a nawet jego przyjaciele i stronnicy dowiedzieli się o zaszłej zmianie zaledwie w parę godzin przed wyjściem *Wiener Zeitung*. W kołach polskich, blizkich sferom rządowym, wiedziano na parę dni przedtem tyle tylko, iż na radzie ministrów objawiła się różnica zdań miedzy Dunajewskim a ministrem dla Galicyi, Zaleskim, dotycząca projektowanego zbliżenia się rządu do opozycyi niemiecko-liberalnej. Dziś przebieg tej sprawy znany już jest w całości wybitniejszym członkom wiedeńskiej kolonii polskiej. Dunajewski sam najusilniej popierał projekt rozwiązania Rady państwa, następnie zaś przedstawił szkic komunikatu, który miał być obwieszczony w gazecie urzędowej; szkic ten zawierał stanowcze przyrzeczenie, że rząd i nadal zamierza opierać się na większości wypróbowanej od lat dwunastu. Hr. Schönborn zaś przeczytał projekt, napisany przez naczelnika wydziału ministeryum sprawiedliwości, dr. Steinbacha, który zdradzał dążności zbliżenia się do lewicy. Po obradach oba projekty otrzymały równą ilość głosów. Hr. Taaffe przerwał więc posiedzenie i udał się do cesarza. Powróciwszy, oświadczył się za projektem dr. Steinbacha. Wobec tego minister Zaleski, który poprzednio głosował za Dunajewskim, oznajmił, że jest sługą korony i stosuje się do jej życzenia, Dunajewski zaś odparł, że uważa się za doradcę korony i że pozostaje przy swym projekcie. Ponowne głosowanie zadecydowało o jego ustąpieniu i spowodowało w dalszym toku powołanie dr. Steinbacha na jego miejsce. Minister Zaleski zaś postarał się o to, aby projekt Steinbacha uzupełnić kilkoma zwrotami w duchu autonomicznym.

Dymisya Dunajewskiego jest faktem, którego skutki wystąpią nietylko w finansowości, ale w całej polityce wewnętrznej Austro-Węgier, a niemniej oddziała i na stanowisko Koła polskiego. Dunajewski niewątpliwie poprawił stosunki skarbu; wprawdzie „zniesienie deficytu" jest tylko zręcznem zestawieniem cyfr budżetowych, ale bądź co bądź finanse państwa są dziś znacznie lepsze, aniżeli przed laty jedenastu, a kredyt państwa większy. I Galicya zawdzięcza mu pewną ulgę. Lecz jak ulga ta głównie wychodzi na dobre klasom posiadającym, tak cała polityka finansowa Dunajewskiego, korzystna dla państwa, nie była taką dla większości społeczeństwa. Nie był on postępowym gospodarzem narodowym, lecz reprezentuje pod każdym względem politykę i pogląd ekonomiczny okresu konstytucyjnego. Nie uczynił nic dla równomierniejszego rozkładu podatków i zmniejszenia ciężarów gniotących ludność; zwiększał dochody państwa sposobem niezawodnym, ale niesłusznym, opodatkowywując dotkliwiej te przedmioty, które spożywać muszą wszyscy. Sól nafta i tytoń podrożały, natomiast giełda nie była opodatkowaną, kapitał ruchomy złote miał czasy.

Wiadomo, że od sposobu prowadzenia finansowości państwowych w znacznej części zależy moralne zdrowie życia parlamentarno-publicystycznego. I pod tym względem Dunajewski korzystnego wpływu nie wywierał. Trudno zaprzeczyć, że Laenderbank, jego wytwór, raczej szerzy, aniżeli ogranicza zgniliznę, szczególnie dziennikarską, mając na żołdzie swym parę dzienników w Wiedniu i w Galicyi.

Oto punkt, w którym występuje znaczenie upadku Dunajewskiego dla całej wewnętrznej sytuacyi politycznej w Austryi. Wiadomo, że konstytucyonalizm waha się wiecznie między dwoma sposobami pogodzenia sprzeczności, która tkwi w gruncie rzeczy przez rozdzielenie siły państwowej między koronę a parlament. Pierwszy polega na tem, że rząd wyzwala się możliwie od większości parlamentarnej i usiłuje zmusić parlament do posłuszeństwa, co zapewnia mu stałość i konsekwencyę w kierunku, ale zbliża go do rządów absolutnych. Drugi na tem, że rząd opiera się na każdorazowej większości parlamentarnej, wybierając z niej swych ministrów. W takim razie musi on starać się o jej łaski, o utrzymanie jednej i tej samej przez czas jaknajdłuższy. Za tem idzie zazwyczaj system protegowania ludzi popieranych przez większość, rozdawanie synekur i silny rozwój prasy gadzinowej. Skoro bowiem środeczków tych się nie używa, większość łatwo się rozbija, a państwo narażone jest na częstą zmianę kierunku rządu.

W Austryi stosowano w ostatniem dziesięcioleciu ów drugi sposób. Zapewniano sobie łaskę większości, stworzono prasę gadzinową. Dunajewski reprezentował ten system, a cała polityka Taaffego dążyła do zachowania większości jednej i tej samej. Ugoda czesko-niemiecka, to ostatnia, rozpaczliwa próba pogodzenia interesów państwowych z zachowaniem dotychczasowej większości. Próba ta chybiła; zdaje się, że nabyto przekonanie, iż rozbujałemu parlamentaryzmowi nadal folgować nie należy, jeżeli istnienie państwa nie ma być narażone i postanowiono użyć drugiego środka: wyzwolenia rządu od większości. Ministrowie-posłowie odchodzą jeden po drugim. Conrad ustąpił miejsca Gautschowi, urzędnikowi; ministra Pino zastąpił Baguchem, nie-poseł. Prażak oddać musiał tekę ministra sprawiedliwości hr. Schönbornowi, a następcą Dunajewskiego jest Steinbach, urzędnik. Tak więc hr. Taaffe stoi dziś już niemal na czele ministeryum urzędniczego, którego charakter wystąpi niedwuznaczniej jeszcze, skoro i hr. Falkenhayn, jak wieść głosi uparcie, otrzyma dymisyę.

Parę słów o nowym ministrze finansów. Steinbach, urodziwszy się żydem i przyjąwszy chrzest dla umożliwienia sobie karyery urzędniczej, awansował rychło, tak iż chociaż ma zaledwie lat 40 kilka, już od lat kilku należy do znakomitości prawniczo-kodyfikatorskich. Jest on prawnikiem uczonym i posiadającym wybitny umysł polityczny, lecz finansami nigdy się nie zaj-

---

4)

# Pan Hilary.

— Nie pójdę dalej, siły mi wszystkie uleciały — skarżył się łzami nabrzmiały głos kobiety, wyraźnie do cichszych brzmień naginany. Tożem za tobą, za potępieńcem, całe miasto obiegła, jak ten pies...

— A kto cię prosił — odburknął młody głos męzki.

— O, nie ty, nie ty! pewno. Radbyś jak najdalej ulecieć ode mnie; dawnoś to już sobie ułożył, czułam to, chociażeś milczał. Jużem ci zbrzydła, jużeś za długo na mnie patrzał. Ni moje ręce, ni moja twarz spłakana już ci miła. Idź, szukaj innej, zważ tylko, abyś nie znalazł takiej...

— Co mi tu będziesz trajkotała próżno — przerwał jej nagle; mówię ci, wracaj do domu, jeśli chcesz, tylko mi nie właź w drogę; rób swoje, a ja swoje.

— Niechże mnie Matka najświętsza od tego uchroni!

Zgroza dźwięczała w jej głosie.

— Jeślim żyła z tobą, mój wstyd panieński zapomniawszy, to dlatego, żeś mi był miły nad wszystko, nad ojca rodzonego, nad matkę, nad dom — Boże święty, daruj mnie grzesznej — tu w piersi się uderzyła — nad duszę moję własną! Żyłam z tobą dlatego, żeś i ty mnie kochał; choćbyś się wyprzysięgał przed Bogiem i całym światem, ja wiem, żeś mnie kochał; nie oszukałbyś mnie, tak jak nie oszukasz teraz, że już...

Łkanie gwałtowne przerwało jej mowę, a choć tłumiła je, znać było, że piersi jej rozrywają się, że serce jej od boleści pęknąć może.

— Boże ty mój, Boże! Czyżem to ja ci duszy całej nie oddała, czyżem ja kiedy na drugiego spojrzała? Czemu źle ci było ze mną?

— Późno już, a ja nie pan, abym tu spacerował bez cały dzień boży. Idę, roboty dużo.

— Nie pójdziesz! — krzyknęła z takim wybuchem namiętności, jakby od tego jej życie zawisło, a potem dodała ciszej: Nie pójdziesz, zanim ci wszystkiego nie powiem, co mię w sercu piecze. Jeśli nie żyć razem, to nie żyć; wracaj sam i... stój! nie idź! siądź tu, jeszczem ci wszystkiego nie powiedziała... Nie mówiłam i mówić nie chciałam, ale teraz wiedz... Ty myślisz może — rzekła po chwili — żebyśmy to żyli jak jacy panowie bez te twoje buty, co nikt ich kupować nie chce? Myślisz może, że za ten nędzny grosz, co mi niekiedy dawałeś, można było z głodu nie umrzeć? Ty nic nie wiesz... W dzień szyłam; wieleby mi to dano za to szycie, przecie i obiad ugotować musiałam i uprać sobie, ladajaka tam w dzień robota. Ale kiedyś ty noce w karczmie przepędzał, myślisz ja spałam? Ja wtedy do dnia białego, do twojego powrotu jak ta ostatnia wyrobnica nad igłą siedziałam; oczy wypatrzyłam, zczerniałam, schudłam... Ty miałeś ubranie zawsze porządne i grosz w kieszeni, a ja — ja zbrzydłam tobie!

Głowę spuściła na ręce i przez cienkie jej palce bujne łzy spływać zaczęły.

— Nikt ci nie kazał.

— Nie kazał, pewnikiem! Ja z rozkazu nic nigdy nie robię. Mnie rozkazów nijakich nie trzeba, co mnie serce każe, to robię, pana innego nie znam.

— No, pójdę już.

Kobieta porwała się nagle.

— Idź, idź, gwałtem cię trzymać nie będę, ani prosić nawet! Idź!.. i niech ci się ziemia pod nogami rozstąpi! Idź, bo mi się zdaje, że zduszę cię ot temi rękami. Uciekaj! Nie chciałeś mnie dobrej, to teraz od złej uciekaj!.. Oh, przeklęty!

mował. W Austryi sądzą, że do dobrego sprawowania obowiązków ministra potrzeba tylko człowieka dzielnego, nie zaś fachowego. Słusznie zauważył ktoś, że skoro dyrektorem Burgteatru zamianowano urzędnika, zatem na ministra finansów powołać by należało kogoś z Burgteatru. Steinbach zawdzięcza swą nominacyę wpływowi hr. Schönborna, dotychczasowego zwierzchnika swego, który miał w nim najdzielniejszą podporę. Nie należy on do owych głów tęgich, które przepadły w biurach rządowych, owszem znany jest kołom szerszym. Jest on przyjacielem Kronawettera i dzieli po części jego przekonania. Pisma wiedeńskie wydobyły z poprzednich roczników odczyt, wygłoszony niegdyś przez dr. Steinbacha w wiedeńskim „Klubie naukowym" p. t. „Obowiązki posiadania." Odczyt ten zabarwiony był nieco socyolistycznie, zwracał się bowiem przeciw kapitałowi ruchomemu i przeciw giełdzie. Sądzą, że dr. Steinbach jako minister postępować będzie w innym duchu, aniżeli jako prelegent, mimo to spodziewają się po nim reformy ustaw podatkowych.

Ruch wyborczy, napełniający obecnie swym wirem wszystkie kraje austryackie, w Wiedniu rozbudził na nowo namiętności, które przy wyborach do sejmu austryackiego wystąpiły tak gwałtownie. Najciekawszą może chwilą w dotychczasowych dziejach przedwyborczych było pojawienie się ks. Aloizego Liechtensteina jako kandydata w jednem z przedmieść wiedeńskich. „Czarny książę," ustąpiwszy z życia parlamentarnego, ukazał się naprzód na zabawie ludowej „Pod złotym rysiem," gdzie dla uzyskania popularności pił piwo z przedmieszczanami, a żonom ich prawił komplimenty. Następnie wygłosił mowę kandydacką na Hernalsie, która zadziwiła wszystkich, a na autora jej nader smutne rzuca światło. Występując jako kandydat okręgu przedmiejskiego, oświadczył, że zerwał całkowicie z klerykałami, że nigdy klerykałem nie był, że zarzuca wniesiony przez siebie projekt noweli szkolnej. Nie obniżenie poziomu oświaty było jego celem, lecz oddzielenie młodzieży chrześciańskiej od żydowskiej. Przy tem żądaniu obstaje, zarówno jak przeciw ograniczaniu żydów na polu ekonomicznem. Z mowy ks. Liechtensteina wynika, że stronnictwo klerykalne nie wierzy już w jego zdolności kierowania sprawami partyi; wynika też i to, że ks. Liechtensteina trawi gorąca jeszcze ambicya odgrywania roli politycznej. Dla ambicyi tej wypiera on się swej przeszłości.

## Z GALICYI.

*Lwów, 10 lutego.*

Nagłe rozwiązanie Rady państwa i rozpisanie nowych wyborów na początek marca obudza z zimowego snu społeczeństwo galicyjskie i zniewala najobojętniejszych do zastanowienia się. Z polityką minionej doby obrachunek nasz krótki i jasny. Gabinet Taaffe-Dunajewski, który witał kraj nasz z politycznem uniesieniem, przywiązując do niego wielkie nadzieje, dla którego Koło polskie zamieniło stanowisko opozycyi na rolę służebnika rządowego, gabinet ten nie przyniósł nam żadnego pożytku, a pod względem materyalnym naraził na milionowe straty. Załatwienie sprawy indemnizacyjnej (odszkodowanie za zniesienie pańszczyzny) okupiła Galicya bezprawnie wydartymi 14 milionami, podatek wódczany zabierający z kraju około 9 milionów rocznie, w końcu wojna celna z Niemcami doprowadziły kraj nad brzeg ekonomicznego bankructwa. Najciemniejszą jednak stroną tego rozrachunku między nami a naszymi posłami stanowi obniżenie poziomu polityki galicyjskiej niżej zera. Usługi dla rządu wyniesione przez Koło polskie do zasady „racyi stanu" i poświęcenie spraw narodu interesom najbardziej osobistym posłów, którzy na tej drodze zdobyli najwyższe stanowiska i godności, albo wprost powypychali własne kieszenie, doprowadziły do tego, że ludność traci wiarę nietylko w narzuconych jej przedstawicieli, ale w całą konstytucyjną machinę. Czy i kiedy w tym społeczno-politycznym rozkładzie przyjdzie do opamiętania i do stwierdzenia naprawy czynem — trudno powiedzieć. W każdym razie rozwiązanie Rady państwa położyło kres tej zgubnej polityce — od wyniku nowych wyborów zawisła najbliższa przyszłość kraju nędzy i głodu... Polityka, zbłąkana po bezdrożach i manowcach pretoryanizmu rządowego, przenosi się teraz na szachownicę wyborczą za pomocą c. k. starostów i jeszcze bardziej c. k. marszałków. Niebawem zacznie się gwałcenie praw i sumień wyborców, rozpijanie ciemnego ludu z całą wstrętną komedyą, odgrywaną przez kandydatów ambicyi i próżności. Komitet krajowy, zwany centralnym, na którego czele stoi klika stańczykowska, powołał już do czynności organizacyę powiatową. Nowe wybory odbędą się więc pod egidą władz rządowych i autonomicznych, mających wspólne cele i środki działania. Fatalna zasada wyborów kuryalnych, wyłączająca z organizmu społecznego masę ludu roboczego, nieprzeniknięta żadną myślą polityczną, zamieniająca obiór posła w okręgach większej własności ziemskiej na sprawę sąsiedzką, w okręgach zaś miejskich dająca tylko sposobność do demoralizacyi i przekupstwa, prowadzi do zaprzepaszczenia interesu publicznego, tudzież do wzbudzenia nienawiści stanowych i narodowych... Ruch wyborczy rozpoczęli rusini wszelkich odcieni. Partya „upaństwowionych" narodowców rzuciła się w objęcia szlachty i idzie łącznie z komitetem centralnym.

Z komitetów polskich zaznaczył swoją czynność przedwyborczą klub lewicy sejmowej, złożony z garstki „opuchlaków narodowych" z Szczepanowskim i Romanowicz na czele, wydaniem „odezwy programowej." Oto zasadnicze barwy tego liberalnego sztandaru, podszytego hasłami demokracyi narodowej: „Stoimy (czemu nie postępujemy—przyp. sprawozdawcy) przedewszystkiem na gruncie narodowym. Zwalczać przeto musimy każdego, kto narodowość zacieśnia prowincyonalizmem, albo go zaciera kosmopolityzmem, bez względu, czy to kosmopolityzm reakcyjny, czy przewrotowy. Koło polskie w Wiedniu uważamy jako solidarną na zewnątrz reprezentacyę kraju, a uchwały większością głosów w Kole powzięte mają być dla każdego posła co do zachowania się jego w pełnej Izbie obowiązujące. Pragniemy, aby reprezentanci nasi w Wiedniu dążyli do utrwalenia praw i swobód obywatelskich, równych dla wszystkich i do bacznego ich przestrzegania ze strony władz wykonawczych, aby czynili wszystko, co w ich mocy, dla rozszerzenia oświaty na najszersze warstwy narodu: aby nietylko popierali, ale też i z własnej inicyatywy podejmowali to wszystko, co dąży do ubezpieczenia i podniesienia bytu klas pracujących, a bezzasobnych i ochrony ich od skorej do wyzysku przewagi ekonomicznej. Pragniemy, aby z rusinami, którzy wejdą do Rady państwa, Koło polskie stale się porozumiewało, celem łącznego popierania interesów naszego kraju tem bardziej, że wspólność nieprzyjaciela nakłada na polaków i rusinów obowiązek wspólnej obrony. Dla wykonania tego programu potrzeba pod wielu względami zmiany sposobu postępowania Koła polskiego. Nie może ono i nie powinno być stronnictwem bezwarunkowo rządowem, ani też bezwarunkowo opozycyjnem, a utrzymanie ministeryum za każdą cenę nie może być celem jego polityki.

---

Głos jej urwał się nagle, nastała cisza.

Pan Hilary zaniepokojony zbliżył się i tak stanął, że sam będąc niewidzialny, mógł ich widzieć. Ujrzał kobietę smukłą i wysoką, w prostej odzieży. Głowa jej, nieco w tył podana, pokryta była gęstwiną ciemnych włosów, w nieładzie na czoło spadających. Z pod cienia tych włosów paliły się jak żużle i promieniami ciskały zagłębione, a wielkie i groźne, straszne niemal oczy. W wielkim bólu źrenice rozszerzały się i jakby wypukłały, a odbijały wyraz tej rozpaczy, co staje już na granicy szału. Twarz ładna, lecz wyniszczona, nosiła ślady długich łez, usta miała wpół otwarte jakby bez oddechu kamieniejące. Stała tak groźna, nieruchoma, jak posąg uosabiający niezmierzoną potęgę uczucia; zdawało się, że zastygła nagle w tej zgrozie swojej. Nie można było zgadnąć, co stanie się z nią w następnej chwili: rzuci się na tego człowieka, czy sama upadnie martwa.

Towarzysz jej wpatrywał się w nią ze zdziwieniem; nagle przerażenie jak błyskawica przez twarz mu przeleciało. Zawrócił się i zaczął odchodzić szybko.

Zrazu zdawało się, że nieruchome jej oczy nie widzą nic; gdy jednak na zakręcie zarośla przysłaniać go zaczęły, gdy szara jego odzież już tylko kiedy niekiedy mignęła, z piersi jej wydobył się pół-jęk, półokrzyk, kolana ugięły się i cała postać ciężko osunęła się na ziemię.

Leżała tak chwil kilka nieruchoma; już pan Hilary pospieszyć chciał z pomocą, gdy ciche łkania wstrząsać zaczęły jej ciałem.

Podniosła się i usiadła, obejmując kolana założonemi rękami.

— Odszedł, odszedł, odszedł... — wyszeptała cicho. Niepotrzebna już mu ani moja praca, ani kochanie moje! Zbrzydłam mu, inną już znalazł... A ja jedna zostałam!

Wybuchła nagle płaczem, pochyliła się i rozpaloną twarz po kolanach tarzać zaczęła.

— Jedna, jedna... — powtarzała łkając— ani mi do ojca wracać, ani matki umarłej przebłagać... ani Bóg, ani ludzie za mną... Każdy ma jakąś duszę na świecie, a ja nikogo... jak brzoza na polu jedna...

A potem znowu, gdy głośniejsze łkania ustały, z przejmującą pieszczotą zawodziła:

— Nie przyjdziesz ty jutro do mnie, nie pocałujesz gorącemi ustami, oczy moje nigdy cię nie zobaczą... Uciekł ode mnie, uciekł... a moim był!

Jęła się za głowę rękami i jęcząc zcicha, kołysała się w obie strony. Po długiej chwili zdawało się, że spokojniejsza. Nagle jak pokutnica w piersi bić się zaczęła.

— Boże, bądź miłościw, Boże bądź miłościw — powtarzała szeptem coraz częstszym—bądźże miłościw, bądź... o ty Boże!..

Wykrzyk ten takim nabrzmiał wyrzutem, czy bólem, tak w nim struna jakaś jękła zerwana, że pana Hilarego jak sprężyną wyrzucił z miejsca.

Podszedł cicho, pochylił się nad płaczącą i lekko ramienia jej dotykając, wyrzekł najmiększym, jak mógł, głosem:

— Dosyć, nie płaczcie nieszczęśliwa! Po co tak rozpaczać? Wszystkiemu musi być koniec i na wszystko znajdzie się rada.

— Nie mnie, nie mnie, nie mnie... — odpowiedziała stłumionym szeptem, nie podnosząc oczu i nie odwracając głowy.

Pana Hilarego dreszcz przeszedł po ciele.

— Wstańcie, dość płakać — powtórzył — stała się wam krzywda wielka, ale trzeba to przenieść — oparł głos na „trzeba." Nie sama jesteś na świecie, będzie dana ci pomoc.

A gdy ona ciągle płakała:

— Dość już, dość — błagał niemal — podaj mi rękę, wstań, proszę cię...

Wziął ją pod ramię i zmusił niemal do powstania. Teraz dopiero ona oczy na niego zwróciła.

Ono może rząd popierać w tem tylko, co zgodne z interesem kraju, a bronić się stanowczo od wszystkiego, co dla kraju szkodliwe. Prośby zanoszone do rządu tylko bardzo wyjątkowo pomyślny osiągają skutek — a zamienione w system, uwłaczają godności reprezentacyi kraju, który ma prawo, aby na równi z innemi popierano jego cywilizacyjne potrzeby. Nie droga próśb, ale droga stawiania wniosków i jawnego upominania się o to, co się krajowi należy i o służące mu prawa — przystoi parlamentarnej reprezentacyi największego i najludniejszego kraju w tej połowie monarchii."

Najważniejszą rzeczą dla sfer rządowych jest to, że polski program demokratyczny kładzie nacisk na bezwzględną solidarność Koła polskiego, a w Kole będą zawsze mieć przewagę właściciele obszarów dworskich i żywioły zachowawcze. Po ogłoszeniu tej odezwy rząd liczy stanowczo na Koło polskie, które przystąpi do każdej większości.

Z Brodów donoszą, że komisya wyborcza unieważniła wybory do Izby handlowej i przemysłowej z powodu niesłychanych nadużyć, wykrytych w śledztwie karnem— po prostu kupowano głosy. Coś podobnego dzieje się i przy wyborach do lwowskiej Izby, tak dalece, że wybory te są istną farsą, a instytucya Izb handlowych, gdzieindziej ważna i ceniona, u nas upadła zupełnie. Przestała bowiem być wyrazem potrzeb zawodu kupieckiego i przemysłowego, a stała się jedynie areną dla ambicyjek osobistych bez najmniejszego pożytku dla ogółu interesowanych, którzy na jej utrzymanie muszą opłacać dość znaczny podatek. Do *Neue freie Presse* telegrafują, że z miasta Lwowa będą wybrani do Rady państwa Smolka i Szczepanowski, ten ostatni w miejsce dr. Karola Lewakowskiego, najbardziej demokratycznego posła w Galicyi. W doniesieniu tem wyłażą pazury naszych fałszerzy politycznych, pracujących nad tem, aby żywioły postępowe rozpoczęły akcyę wyborczą w kraju od walki pomiędzy sobą, jakiej mieliśmy przykłady już podczas dawniejszych wyborów sejmowych.

*Beta.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nowy prezes gabinetu włoskiego, Rudini, odczytał w Izbie deputowanych program rządu, odznaczający się głównie tem, że się nie odznacza niczem: wewnątrz — oszczędności, zewnątrz — dobre stosunki ze wszystkiemi państwami, uszanowanie ściślejszych związków dotychczasowych (trójprzymierza) itd. Jedyną może wyraźniejszą, a przynajmniej świeższą barwą tej deklaracyi jest kilka mdłych kwiatków rzuconych ku Francyi. Że Rudini zajmie się szczerze oszczędnościami — które w tej chwili muszą stanowić główną osnowę polityki Włoch — o tem nie wątpimy, gdyż inaczej z daleko uboższemi, niż jego poprzednik, wspomnieniami byłby wyprawiony w krainę cieniów ministeryalnych i nie miałby nawet tej pociechy, że ukoiłby swe żale na łonie „przyjaciela" we Friedrichsruh, co wkrótce uczyni Crispi.

Augurowie francuscy powaśnili się: podczas gdy kardynał Lavigerie wydał dla duchowieństwa hasło zgody z Rzeczpospolitą, biskup Freppel pragnie je zatrzymać pod sztandarami monarchizmu i w tym celu wyjechał do Rzymu, azeby skłonić papieża na swoją stronę. Ale Leon XIII, pobłogosławiwszy pracę kardynała, nie pobłogosławi intryg biskupa, zwłaszcza że jako dyplomata umie przedewszystkiem cenić siłę, a tę widzi we Francyi tylko śród republikanów. Zresztą papież ma już zbyt liczne powody strzeżenia się dusz zbyteczną świętobliwością nasiąkłych. Pamiętamy pobożnego giełdziarza Bontoux; przybył mu teraz w Paryżu godny towarzysz Macé (właściwie Bernau), który świeżo zbankrutował na 21 milionów fr. Cieszył on się tak szczególnem zaufaniem duchowieństwa, że jeszcze 25 stycznia papież przesłał mu swój portret z błogosławieństwem. *L'Eglise de France*, donosząc o tem, pisał: „Winszujemy temu *uczciwemu* finansiście i możemy go tylko *zachęcić* do wytrwałości w spełnianiu zadania, wymagającego zręczności i zimnej krwi żołnierza, który jest ciągle w ogniu." Jak śledztwo wykazało, zadanie tego „żołnierza" polegało na lichwiarsko-szwindlarskich operacyach, których „ogień" wreszcie go spalił, a raczej skłonił do ucieczki. To też Leon XIII powtarza sobie: ostrożnie z ogniem pobożności bankierskiej.

Parnell nie przemógł swej ambicyi przewodniczenia irlandczykom i zerwał układy, prowadzone w Boulogne, pod pozorem, że Gladstone nie chciał zobowiązać się piśmiennie do popierania home-rule'u według żądanych od niego warunków. Dziwna logika: ponieważ sojusznik jest niepewny, więc strona porozumiewająca się z nim musi pozostać w niezgodzie. Zawiedzeni w swych staraniach o usunięcie rozłamu, Dillon i O'Brien wrócili do Anglii i poszli do więzienia.

Wielkiej wrzawy, która ma się zakończyć procesem przeciw Garaszaninowi, narobił ogłoszony list Risticza do b. królowej natalii. Rzeczywiście chyba nigdy jeszcze nawet zdetronizowana władczyni nie odebrała podobnego pisma od człowieka, który rządzi krajem i jest opiekunem jej syna — króla. Risticz wypisał Natalii całą litanię jej grzechów i przewinień, za które tak ją skarcił, tak pognębił lekceważeniem, że wpleciony w jego ostre słowa tytuł „Królewskiej Mości" brzmi tylko szyderczą ironią. Wygląda to tak, jak gdyby ktoś mówił: czcigodny panie, jesteś nieponiem.

Urzędownie wyjaśniono mniemany spisek w Sofii przeciw księciu: kilku ludzi pobiło się, a jeden z nich, raniony nożem, oskarżył przeciwników przez zemstę o zbrodnię stanu.

W Brazylii wybuchł znowu bunt, który zachwiał stosunkami kraju. Nieprędko tam zapanuje trwały ład, a skutki bezrządu i ustawicznych rozruchów spadać będą również na biednych emigrantów.

Wojna domowa w Chili przechyliła się obecnie na korzyść powstańców, którzy odnieśli zwycięztwo nad wojskami rządowemi.

## BADANIA NAUKOWE.

M. Heilpern. *Tajemnice przyrody.* Wiadomości ogólne o świecie. — Kurs zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych. Warszawa, 1891.

„Cała umiejętność nauczania polega na tem, aby umieć postawić się na stanowisku ucznia i odgadnąć pojęcia, jakie w umyśle jego wykład wytwarza... Nie należy nigdy ani formą, ani treścią przekraczać granic, zakreślonych pojęciami uczniów." Ta prosta prawda stanowi bezwątpienia dla wielu nauczycieli trudności, których przezwyciężyć nie są w stanie. Że zaś stosuje się ona do wszystkich wykładających, bez względu na to, w jakim stopniu uczniowie są dojrzali, można przeto na każdym kroku — od bakałarza początkowej szkółki do profesora uniwersytetu — przekonać się, o ile dzisiejsza pedagogika w tym kierunku jeszcze grzeszy. Zrozumiałom jest zarazem, że trudności napotykamy największe, gdy chodzi o nauczanie dzieci. Prawdziwa rozpacz ogarnąć może niejednokrotnie, gdy, chcąc choćby względnie niezawiłe zjawiska dziecku objaśnić, nie możemy od-

---

— Kto pan jesteś? — spytała przerażona — czego pan chcesz ode mnie?

— Wszystko jedno, kim jestem—odrzekł prędko—a czego chcę—zatrzymał się chwilę — chcę, żebyś nie płakała tak strasznie.

Lecz ona właśnie na to słowa nowym wybuchnęła płaczem. Ukryła twarz w fartuchu, a ramiona wstrząsały się pod fałdami grubej chustki. Pan Hilary ujął ją pod rękę i zaprowadził do ławki. Posadził przy sobie, patrzał na jej postać schyloną i drżącą i serce mu się ściskało. Te łzy takie ciche, gorzkie a szczere przenikały go do głębi.

— No, już dosyć, dosyć — powtarzał pieszczotliwie i jak dziecku rękę położył na głowie. A gdy i to nie pomagało, pomyślał chwilę, zrobił jakieś postanowienie i pochyliwszy się nad nią, półgłosem mówić począł:

— Nie płacz. wszystkiemu się zaradzi; nie jesteś sama, masz już przyjaciela. Nie masz ojca, ani matki, ale masz brata. Pójdź do mnie, ja cię nie skrzywdzę; będziesz u mnie pracowała, znajdziesz chleb uczciwy... nie będziesz sama.

Zrazu nie zważając, teraz głowę podniosła i wpatrzyła się weń ostro. Oczy jej smutne i wpółprzytomne, coraz bardziej zapalały się światłem świadomości; nagle strzeliła z nich błyskawica gniewu, obrażonej dumy i pogardy. Skoczyła z ławki i wyprostowała się całą swą wysmukłą postacią.

— Ach, to ty, niegodziwcze przychodzisz natrząsać się ze mnie? To dlatego, żem jedna, żem uboga, że mnie nieszczęście spotkało? Znam ja was, próżniaki! Było ciało młode, to dosyć... a, nikczemny, już mnie targuje, a nikczemny!

Mówiąc to, cofała się, jakby dla obrony, nieco rękę wysunąwszy przed siebie.

Pan Hilary patrzył na tę twarz o rysach szlachetnych, wypiękniałą poczuciem godności własnej, na te oczy ciskające płomienie gniewu — i Medea jak cień przesunęła mu się w pamięci.

Zbliżył się do niej i ująwszy wyciągniętą jej rękę, sam nie wiedząc, co robi, począł ściskać gwałtownie.

— Nie to, nie to! — zawołał żywo. Nie rozumiesz mię! bratem chcę ci być, słyszysz? — bratem... boś ty nieszczęśliwa, przez ludzi zdeptana, bo twe głębokie serce przez głupca poszarpane w kawały, bo jedna jesteś i biedna i w biedzie swej odtrącona będziesz przez ten świat nikczemny i czystsza od nich wszystkich, splamiona być możesz od wszystkich. Bratem ci będę — boś ty jedna, a świat ten podły jest i głupi, bo prawdy w nim niema, jak niema jednej duszy ludzkiej w tych mrowiach robactwa. Tyś lepsza od nich, bo ty czuć umiesz i uczuć tych nie wstydzisz się, ani ich zmyślasz. Ty jak Medea, prawdziwą jesteś, lepsza od niej tylko—bratem ci będę...

Wyrzucił to z piersi prędko, gorąco, nie myśląc, czy zrozumianym będzie. Głos na ostatniem słowie zamarł mu, a widać było, że mówić więcej nie może.

Nastało parę chwil milczenia. Kobieta popatrzała nań rozbrojonemi już, ale zdziwionemi wielce oczami, wysunęła powoli rękę z jego dłoni, odstąpiła parę kroków i rzekła:

— Niech Bóg pana osądzi wedle jego uczynków, może na myśli nic złego nie było, ale z wami lepiej być ostrożnie.

Otuliła się chustką, skinęła lekko głową i odeszła.

Pan Hilary stał oszołomiony, nie mogąc zdać sobie sprawy z tak nagłego zakończenia rozmowy. Czuł jakąś niekonsekwencyę i w sytuacyi i w swoim wybuchu tak niewłaściwym dla jego zwykłej powagi. Stał uśmiechając się półustami i patrzał za odchodzącą; było mu niewymownie gorzko.

Ona oddalała się powoli, słaba i pochylona, jakby ramiona jej ciężar przygniatał.

gadnąć, w jaki sposób ono na otaczający je świat spogląda. Powiadam *odgadnąć*, ponieważ przekonany jestem, że przy dzisiejszym systemie przygotowywania się do stanu nauczycielskiego najczęściej mamy do czynienia z kroczeniem po omacku w ciemnej sferze pojęć dzieci.

Każdy, kto poświęcił nieco uwagi biegowi kształcenia swego umysłu, kto zwykłą drogą wzbogacał zasób swej wiedzy, a doszedłszy do możności krytycznego objęcia tej drogi, zrobił bilans dochodów i rozchodów, przyzna chyba, że niejednokrotnie doznawał smutnego rozczarowania, niejednokrotnie miał uczucie, że mu czegoś nie dopowiedziano, że coś przed nim ukrywano, że wreszcie często o najprostszych, codziennych zjawiskach miał niewłaściwe wyobrażenie. Sądzę, że wówczas nawet, gdy pedagogika praktyczna więcej się rozwinie i głębiej przeniknie w szeregi uczących, zawodów powyższych w zupełności pominąć nie będziemy mogli; z drugiej wszakże strony nie ulega wątpliwości, że ideałem nauczania powinno być właśnie najtroskliwsze uwalnianie kształcącego się umysłu od owych przykrości, rozwijanie przed nim przedmiotu w ten sposób, aby mógł każdej chwili ogarnąć okiem przebytą drogę i jasno zdawać sobie sprawę z tego, co przed nim się znajduje. Oczywiście może tu być mowa tylko o nauczaniu elementarnem; lecz za to w tym zakresie osiągnięcie tego ideału zdaje się być teoretycznie zupełnie możliwem.

W każdym razie, choćbyśmy ani na chwilę nie zapominali o tem, że sposobem wykładu powinniśmy przystosowywać się do stopnia rozwoju umysłu dziecka, nie sądzę, aby z prawdziwą korzyścią prowadzone być mogły wykłady nawet elementarne przez osoby niepanujące doskonale nad danym przedmiotem w obrębie znacznie przekraczającym zakres wykładu. Nie przeczę, że specyalnie pedagogicznie uzdolnione umysły prowadzić mogą wykłady dla dzieci w zakresie bardzo obszernym, że jednocześnie uczyć mogą historyi, gramatyki, nauk przyrodniczych i t. d. Gdy wszakże chodzi o wykłady systematyczne, nie zaś o dorywcze zajmowanie umysłu dziecięcego, natenczas nauczyciel lub nauczycielka stanowczo powinni być specyalistami — nie specyalistami, badaczami naukowymi, lecz specyalistami pedagogami w danej dziedzinie. Ludzie, doskonale wykładający jeden przedmiot, mogą kiepsko uczyć drugiego, choćby i ten równie dobrze był im znany. Wynika to po prostu stąd, że każdy dział wiedzy ma swoje metody badania; wysokie zaś pedagogiczne znaczenie wówczas tylko wykładowi przypisać można, jeżeli nieznacznie, niby od niechcenia, uczeń przyswaja sobie te metody. Jeżeli zatem p. Heilpern powiada, że według książeczki jego mogą uczyć rodzice, nauczyciele i nauczycielki, nawet niezajmujący się specyalnie naukami przyrodniczemi, to rozumiem to tylko w znaczeniu, że te uczące osoby nie powinny bynajmniej być samodzielnymi badaczami-przyrodnikami. Że natomiast muszą doskonale znać swój przedmiot w zakresie większym, niż go wykładają, oraz, że przezwyciężyć muszą trudność przystosowania się do umysłu dziecka; to dla mnie wątpliwości nie ulega. Na najwyższą zaś pochwałę książki p. Heilperna powiedzieć można, że przestudyowanie jej może dla wielu nauczycieli wystarczyć i wskazać im właściwą drogę nauczania dzieci. P. H. bowiem — że pominę w tej chwili zupełnie jego przygotowanie do nauczania jako doskonale wykształconego przyrodnika — dowiódł swą książeczką, że potrafił skutecznie zwalczyć przeszkody, jakie piętrzą się przed niedoświadczonym nauczycielem, gdy z umysłem dziecka ma do czynienia. Sposoby jego rozumowania poznał p. H. doskonale; z góry wie, co mu przeciętny umysł ucznia na dane zapytanie odpowie; z dokładnością przepowiada zapytania ucznia; sumiennie liczy się z tem, co uczeń przyswoić sobie może, co uważa za zbyteczne, co wreszcie pozostawić mu trzeba do przetrawienia *facultative*. Zasługa to tem większa, że wykład p. H. przeznaczony jest dla dzieci młodych, od 11 do 13 lat, mających tylko ogólne wstępne przygotowanie, takie, jakiego zwykle dzieci nabywają z nauki o rzeczach, z czytania odnośnych ustępów w wypisach, a także „z początkowej nauki geografii."

Co się tyczy tej „początkowej nauki geografii," to nie zdaje mi się być rzeczą zupełnie rozstrzygniętą, aby, jak to się zwykło dziać, na niej można cokolwiek budować. W znacznej bardzo części wypadków ta geografia, której uczymy się w samych początkach, a której część stanowi ogólne zapoznanie się z ciałami niebieskiemi, nie przynosi tych owoców, jakich się po niej spodziewamy. W praktyce swej nauczycielskiej zapewne p. H. także zrobił to doświadczenie, skoro jednakże w ostatnich swych lekcyach, mówiąc o słońcu, księżycu i t. d. dodaje w nawiasie, że na wypadek, gdyby uczniowie ze zjawiskami obrotu ciał niebieskich i t. p. nie byli dobrze obeznani, należy im to obecnie obszerniej wyłożyć. To właśnie zdaje się znakomicie przemawiać za tylo razy dowodzoną prawdą, że najlepszych rezultatów spodziewać się można przy wykładzie nauk przyrodniczych, jeżeli od zjawisk najprostszych, najbliżej nas odbywających się przechodzić będziemy do coraz zawilszych, coraz dalszych. Niewątpliwie uwaga nietylko dziecka często wybiega daleko, pomijając sfery najbliższe; lecz na tem właśnie polega zadanie wychowawcy, aby skierowywać ją tam, gdzie zjawiska przyrody niemniej na pozór są cudowne, a gdzie dotyczą nas bezpośrednio.

W sześćdziesięciu wykładach p. H. zapoznaje ucznia z najprostszemi zjawiskami przyrody. Rozpoczynając od tego, że „kreda jest biała i służy do pisania," umiejętnie przechodzi z uczniem przez rozmaite działy fizyki, chemii, geologii, mineralogii, zoologii i botaniki, a choć naukom biologicznym — jak się zastrzega — względnie mało czasu poświęca, uważając za błąd pedagogiczny rozpoczynanie od tych przedmiotów, to jednakże zapoznaje ucznia jak na początek wcale porządnie z żywą przyrodą. Jeżeli zresztą uwzględnimy, że wykłady p. H. są tylko szematem, według którego nauczyciel postępować winien, że natomiast sam wykład w każdym oddzielnym wypadku ma być zastosowany do skłonności umysłowych uczniów, to pojmiemy, że i tu zbytecznie nauczyciel nie jest krępowany.

P. H. nietylko opisuje ciała i zjawiska, lecz pokazuje je, robi doświadczenia i to właśnie najusilniej uczącemu zalecane być winno. W wykładzie na każdym kroku widać ostrożność, jaką autor zachowuje przy teoretycznem objaśnianiu poznanych faktów; starannie unika on wszystkiego, co mogłoby przekroczyć granice pojmowania zmysłu dziecięcego. Z tem wszystkiem widać, jak daleko umiejętność wykładającego może ucznia zaprowadzić. W jednym tylko razie zdaje mi się, że autor jak gdyby zbyt wcześnie się powstrzymał, mianowicie na początku wykładu XLVIII, gdzie mówi o tem; że lód jest lżejszy od wody. Jeżeli powiada p. H.: „gdybyśmy wzięli równą ilość wody i lodu, to lód byłby lżejszy," może bardzo łatwo spotkać się z zakwestyonowaniem ze strony ucznia wyrazu *ilość*. Objaśnienie pojęć: objętości i ciężaru oraz ciężaru właściwego nie jest w tem miejscu przedwczesne; a jakkolwiek już w wykładzie X (str. 61 i 65) autor na te pojęcia natrafia i *umyślnie* ich nie dopowiada, to jednakże nie zdaje mi się, aby to znów osobliwie sprawiało trudności. I tu możnaby sobie rysunkami i modelami dopomódz.

---

Może pozwoliłby tak jej odejść, gdyby na skręcie alei nie obejrzała się na niego.

Dogonił ją w kilku krokach.

— Nie odchodź tak — powiedział. Jeśli będziesz potrzebowała czegokolwiek, no, pracy czy... — zatrzymał się — czy też innej jakiej pomocy, zwróć się śmiało do mnie, jak do brata, jak do ojca — poprawił.

Wyjął notatnik z kieszeni i skreśliwszy parę słów ołówkiem, wyrwał kartkę i podał jej.

— Oto mój adres, od czwartej codzień jestem w domu.

Wyciągnęła rękę a jednocześnie bardzo uważnie w twarz mu popatrzyła. Twarz ta była już spokojna, poważna jak zwykle i smutna nieco.

— Dziękuję — rzekła półgłosem, wzięła kartkę, ale nie odeszła. Widać, że pan bardzo jest dobry, kiedy ulitował się nad taką jak ja — powiedziała z westchnieniem.

— Dlaczegoż nie mógłbym się ulitować, kiedy cię spotkało nieszczęście?

— Nieszczęście moje tak jest wielkie, jak grzech, ale... cóżem ja winna, że tak go pokochałam...

Znowu łzy nabiegły jej do oczu, które końcem grubej chustki ocierać zaczęła. Gdy po chwili podniosła je na pana Hilarego, spotkała się z jego wzrokiem tak pełnym współczucia i rzewności, że uczuła się wzruszoną. Pochyliła się do jego ręki, chcąc ją ucałować. Pan Hilary z przerażeniem ją cofnął.

— To ja winienem ci podziękować — powiedział—nauczyłaś mnie jednej prawdy— i ciszej, jakby do siebie dokończył — gdzie ludzi szukać należy.

Spojrzała nań pytająco.

— Więc przyjdziesz do mnie? — spytał pospiesznie.

— Przyjdę — odrzekła bez wahania.

Uścisnęli się za ręce i rozeszli.

* * *

W lat parę pan Hilary znikł zupełnie z horyzontu w...skiego. Dlaczego rzucił służbę, dokąd się udał — najciekawsi docieć nie mogli. Ku jesieni następnego roku różne wieści zaczęły o nim krążyć w kółku jego znajomych. Jeden z nich, wróciwszy z letniej wycieczki, opowiadał, że zwiedzając klasztor na Karczówce widział jakiegoś mnicha uderzająco podobnego do pana Hilarego, który na jego widok skrył się co prędzej, a to potwierdzało prawdziwość przypuszczenia. Ktoś inny słyszał od swych znajomych ze wsi, że w Lubelskiem pojawił się jakiś oryginał, który z zapamiętałością maniaka zbiera kolekcyę płazów i owadów i chrzci je imionami dawnych swych znajomych, a w zimowe wieczory uczy dzieci chłopskie. Rysopis oryginała był portretem pana Hilarego. Trzecia znów wiadomość żywiej obiegała kółko jego znajomych. Rozsiewał ją fryzyer, który miał brata również fryzyera w jednem z krajowych miejsc leczniczych. Fryzyer ów, goląc i strzygąc gości kąpielowych, natrafił jakoby na pana Hilarego, z czego jakoby byli bardzo zadowoleni. Dowiedziawszy się o mieszkaniu byłego swego klienta, fryzyer dowiedział się w dalszym ciągu, że nie mieszka sam, ale z żoną, co więcej, że gospodyni wynajmująca im mieszkanie gotowa jest przysiądz na wszystkie świętości, iż nigdy podobnie dziwnego małżeństwa nie widziała: pani bowiem jakoś wcale na panią nie wygląda, pan zaś „okrutnie dla niej jest dobry, tak ją pieści i dogadza, że tegoby żaden człek dla swej żony nie uczynił."

Która z tych pogłosek jest prawdziwszą, trudno byłoby odgadnąć, czegoż bo po takim dziwaku spodziewać się nie można?

*W. Dal.*

---

Od najprostszych własności ciał, od ich barwy, kształtu, cech optycznych, smaku, zapachu, zachowywania się względem zewnętrznych sił mechanicznych, palności, stanu skupienia itd., przechodzi autor do cech bardziej ukrytych, po drodze zaś przed okiem ucznia przeprowadza mnóstwo ciał, których nieznajomość jest grzechem „klasycznie“ kształconej młodzieży spółczesnej. Wszędzie wplata p. H. opisy tworzenia się, powstawania martwych ciał natury, z dziwną łatwością opowiada uczniowi, jak ciała te badać, jak je coraz dokładniej poznawać, i co najważniejsza, jaką z poznawania tego korzyść osiągamy. Tu otwiera się dla autora nader wdzięczne pole do opisu najprostszych procesów z zakresu technologii chemicznej i mechanicznej. Szereg wykładów poświęca on na ogólne zapoznanie ucznia ze światem roślinnym i zwierzęcym. Wreszcie, opisawszy ogólnie ziemię, prowadzi ucznia po dalekich przestworach niebieskich i mówi mu to wszystko, co na początek ciekawość jego doskonale zaspokoić może. Pomiędzy lekcyami powyższemi udaje się p. H. zapoznać ucznia z praktycznymi sposobami wyzyskania siły pary, z urządzeniem filtrów, wodotrysków itp., a wszędzie doświadczenia, na których to polega, stara się autor wykonywać w sposób najzupełniej przystępny dla swego ucznia. Ostatnie lekcye poświęca wreszcie syntezie wszystkiego w ciągu roku poznanego; kończy tem, od czego wielu nauczycieli, niestety, rozpoczyna. Mówi więc, jak się dzielą nauki przyrodnicze, czem się zajmują, co to jest ciało, materya, zjawisko.

Najlepszym, o ile się zdaje, dowodem pedagogicznych zdolności p. H. jest to jeszcze i dla każdego dziecka zrozumiałe pojęcie, jakie mu daje o znaczeniu systematyki ciał przyrody; dalej ciągłe przypominanie rzeczy już poznanych, niezrywanie ani na chwilę tej nici, którą prząść począł w pierwszym wykładzie. W szczegółach mógłbym mnóstwo jeszcze przytoczyć przykładów, dowodzących doskonałego zrozumienia przez p. H. umysłu dziecka, jego zdolności wykładowej, opartej na długiem sumiennem doświadczeniu. Muszę dodać jeszcze, że staranność przebija nawet w języku tego szematu wykładów. Gdzie można i trzeba, tłomaczy autor terminy naukowe — i jedną tylko drobną pozwoliłbym sobie wyrazić pretensyę o to, że rozmaite odmiany mineralne węglanu wapnia nazywa p. H. *wapniowce*, podczas gdy tę nazwę przywykliśmy stosować do grupy metalów ziem alkalicznych, podobnych do metalu wapnia. Owe minerały słuszniej nazywać *wapniaki*!

Książkę p. H. z prawdziwą radością powitać winny przedewszystkiem szeregi naszych nauczycieli i nauczycielek; dobrze wczytywać się w nią powinni też rodzice, mający chęć zastępować swym dzieciom do pewnego stopnia pomoc nauczycielską. Ponieważ książeczka ta bezwarunkowo okazać się musi pożyteczną, oczekujemy przeto dalszych, które, według zapowiedzi autora, mają wprowadzić ucznia w oddzielne dziedziny nauk przyrodniczych.

*Maksym. Flaum.*

---

## ACHILES LORIA.

### *II. Systemy ekonomiczne w swoim rozwoju.*

*Rozbiór własności kapitalistycznej* składa się w gruncie rzeczy z dwóch prac, prawie zupełnie od siebie niezależnych. Jedna, stanowiąca tom pierwszy, zajmuje się „prawami organicznemi“ ustrojów ekonomicznych; charakter tej części jest nawskroś oderwany, dedukcyjny. Tom drugi winien faktami oświetlić wywody pierwszego i rozpatrzeć, jak wyprowadzono teoretycznie stosunki sprawdzają się w dziejowym rozwoju ekonomicznym. Nadano mu jednak osobny tytuł: *formy historyczne ustroju ekonomicznego* *) i istotnie przedstawia on zgoła samodzielną a odrębną całość. Zaczniemy od poznajomienia czytelników nie z jego treścią, bo to zajęłoby zbyt wiele miejsca, lecz z główną myślą, która jako nić wije się przez całą książkę. Przedtem jednak należy rzec słówko o metodologicznem znaczeniu, dawanem przez Lorię koloniom europejskim. Z tegoczesnością społeczną posiadają one wspólną cechę, mianowicie jednakie pojęcia religijne, tożsamość rasową i językową, lecz silnie od niej odskakiwały w poprzednich okresach swojego rozwoju ukształtowaniem stosunków ekonomicznych. Niewolnictwo, na którem całe życie ekonomiczne opierało się przez pewien czas w koloniach, zbliżało je do klasycznego Rzymu, lecz różniły się one od niego całym charakterem swojej kultury. W ten sposób historya przedstawia nam pewne czynniki rozwoju społecznego w rożnem połączeniu i tem samem niejako dokonywa analizy chemicznej, która w dalszym ciągu umożliwia już zbadanie odpowiednich stron życia gromadzkiego oraz wpływu przez nie wywieranego. Loria czerpie z dziejów kolonij mnóstwo wskazówek i wciąż ich używa już jako klucza do zrozumienia ekonomicznej przeszłości, to znowu jako probierza do unaocznienia lub udowodnienia wpływów ustroju ekonomicznego na inne dziedziny życia społecznego. Zresztą we wszystkich swoich poglądach badacz włoski jest stanowczym i konsekwentnym rzecznikiem „materyalistycznego“ pojmowania dziejów. Nie idea jest zasadniczem źródłem postępu i doskonalenia się ludzkości; przeciwnie, rodzi się ona dopiero z pewnych stosunków rzeczowych. Umysł ludzki nie tylko nie jest ojcem przewrotów i zmian społecznych, lecz wprost dzieckiem, zrodzonem przez nie. Dla udowodnienia tego Loria czerpie przykłady z dziejów kolonij. Europejczyk, w pewnem otoczeniu społecznem, przyzwyczajony do pewnych stosunków, popędów i uczuć, wykarmiony szczególnemi ideami, przybywa do pierwotnej kolonii i odrazu staje się zgoła innym człowiekiem. Społeczeństwo swoje kształtuje według wzorów dawno ubiegłych. „Istotnie, jeżeli kolonie przedstawiają zgoła innego rodzaju stosunki produkcyjne, niż w metropolii, wbrew tożsamości psychicznej kolonistów z mieszkańcami ojczystego kraju, jeśli ci sami ludzie, przeniesieni na dziewiczą glebę, z konieczności powołują do życia urządzenia, najzupełniej różne niż istniejące w ich ojczyźnie, czyż to zjawisko nie powiada nam, że przyczyna rozwoju społecznego tkwi nie tyle w człowieku, ile w warunkach terytoryalnych otoczenia? A kiedy w dalszym ciągu okazuje się, iż stosunki ekonomiczne powstającej kolonii przedstawiają głębokie podobieństwo ze stosunkami, właściwymi pierwotnej ludzkości, jakkolwiek wszystkie warunki są zgoła odmienne z wyjątkiem związku pomiędzy człowiekiem a ziemią, dochodzimy do ściślejszego wniosku, że przyczyna zjawisk społecznych spoczywa nie w człowieku, lecz w naturze zewnętrznej, że sprężyną rozwoju społecznego jest ziemia; że człowiek nie jest czynnym działaczem historyi, lecz tylko widzem.“

Słowem rozwój społeczny dokonywa się niezależnie od idei, a wola ludzka jest tylko rzeczniczką tych dążeń, które człowiekowi narzuciło jego martwe, materyalne otoczenie. Przyjrzyjmy się zatem jakiemuś okresowi dziejów ludzkich, aby na przykładzie poznać te niezależne od człowieka sprężyny postępu. W tym celu weźmiemy pierwotny okres dziejowy kolonij nowożytnych.

Człowiek staje tutaj w obec niezmierzonych obszarów gruntu. Nadto wszędzie w Ameryce uprawę można było rozpocząć bez posiadania jakichkolwiek kapitałów. „Ziemia stoi dostępem dla wszystkich, a jest tak urodzajną, że od pierwszego razu daje plony najbardziej zadawalające.“ Wobec tego każdy woli pracować na własną rękę i najmictwo jest zgoła niepodobne. Robotnicy, przywiezieni z Europy, porzucają pryncypała i stają się niezależnymi osadnikami. Ktoś przywiózł do N. Holandyi ze Starego Świata żywność i środki produkcyi w sumie 50 tys. fantów sterl., a nadto około 3 tysięcy robotników. Po przybyciu jednak na miejsce „ujrzał się bez żadnego sługi, któryby mu posłał łóżko lub poszedł po wodę do rzeki!“ Wszyscy zostali wolnymi chłopami. Jednocześnie widzimy inne nieodłączne zjawisko: rozproszenie osadników. Jest to rzecz równie zrozumiała. Każdy wybiera jak najlepszy kawałek gruntów. Lecz takie grunty rzadko leżą przy sobie, i zwykle są oddzielone mniejszą lub większą przestrzenią. Osadnicy, zabierając przedewszystkiem najrodzajniejsze kawałki, tem samem muszą być rozproszeni, to zaś rozproszenie wywołuje dalsze skutki, a mianowicie uniemożliwia podział pracy. Kolonista jednocześnie winien być rzemieślnikiem i spełniać mnóstwo robót, załatwianych w Starym świecie przez przemysł miejski. Tem samem też ustępuje wyodrębnienie miasta od wsi. Połączone wysiłki ludzkie pociągnęłyby za sobą zgęszczenie ludności na mniejszej przestrzeni, przeciętnie nie tak urodzajnej, jak owe kawałki wybrane, a zatem zamiast podnieść urodzajność pracy ludzkiej, zgęszczenie obniżyłoby ją. Jednocześnie same narzędzia doznają uwstecznienia. Z tego powodu Loria czyni ironiczną uwagę, jakim sposobem istota ludzka, która w kraju ojczystym używała lepszych narzędzi, przyszedłszy do kolonii odrazu zatraca tę „ideę“ i bierze się do gorszych środków produkcyi. Chyba należy nieco zmniejszyć wpływ idei i podwyższyć znaczenie warunków!

Nie będziemy zajmowali się tem, jak, w miarę wzrostu ludności, w sposób żywiołowy tworzą się pewne stosunki, przypominające ustrój dawnej marki niemieckiej lecz przejdziemy wprost do czynników, które powołały do życia niewolnictwo. Przypuśćmy, iż w pewnem miejscu ludność wzrasta, wymaga ona coraz liczniejszego zasobu żywności. Dowóz z dalszych okolic jest dość trudny przy braku środków komunikacyjnych. Gdyby osadnicy skupiali się w danem miejscu, musieliby wziąć się do gruntów gorszych i wydajność ich pracy zostałaby zmniejszona. Wolą oni dalej poszukiwać miejsc na osady. Wprawdzie ta wytwórczość pracy rolnej wzrosłaby, gdyby można było zjednoczyć wysiłki wielu ludzi. Lecz takie współdziałanie ani w formie wolnej, ani w najmickiej nie jest możliwe, dalej bowiem leżące odłogiem urodzajne grunta wabią przybyszów. Zrzeszenie pracy może być tylko przymusowe, siłą narzucone. Pańszczyzna nie może się ukazać, bo uprzednio wszystkie grunta musiałyby zostać zmonopolizowane, czemu staje na zawadzie ich ogrom. Jedynie niewolnictwo czyni zadość potrzebie. W niem też znaleziono rozwiązanie trudności a jednocześnie dźwignię dalszego postępu. Wraz z niewolnictwem rozproszenie znika, w danem miejscu ukazuje się nadmiar żywności, który pozwala utrzymać ludność rzemieślniczą, następuje społeczny podział pracy, miasto wyodrębnia się ode wsi, jako ognisko szczególnych czynności gospodarczo-ekonomicznych.

Atoli niewolnictwo, ta sprężyna postępu społecznego, w miarę jak wywołuje wzrost ludności, społeczny podział pracy, powstanie wielkich niewolniczych gospodarstw, staje się jednocześnie zawadą dla dalszego rozwoju. Warto przyjrzeć się tej arcyciekawej sprawie. Naprzód niewola przygniata naturę ludzką i zakreśla granice dla wydajności pracy niewolniczej. Kiedy np. wydajność ta w stanach wolnych Związku północno-amerykańskiego w latach 1840—1850 podniosła się o 22%, w niewolniczych wzrosła jedynie o 7%. Niewolnik, dzięki

---

*) *Le forme storiche della costituzione economica.*

stępieniu umysłowemu, jest robotnikiem mało elastycznym, któremu niepodobna dać do ręki bardziej złożonego lub też delikatniejszego narzędzia. Trzeba z konieczności poprzestawać na bardzo prostych metodach produkcyi. „Pokazywano mi narzędzia — mówi autor— którychby nikt u nas (w Europie) nie dał robotnikowi, gdyż uczyniłyby one pracę cięższą i mniej wydajną. Lecz nie można dawać innych niewolnikowi, ponieważ w ciągu dnia zostałyby popsute.“ Sama uprawa gruntu odbywa się w sposób rutyniczny, wyjaławiający ziemię; niewolnictwo wymaga gospodarki rozciągłej i olbrzymich rozmiarów majątku. Jednocześnie niezbędnym jest dozór nad zatrudnionymi niewolnikami. Społeczeństwo niewolnicze z natury rzeczy musi być wojowniczem, a nadto opartem na wielkiej własności. Drobni posiadacze, istniejący w chwili powstawania niewolnictwa, zwolna stają się pieczeniarzami u wielkich panów lub żołdakami w ich służbie, w przeciwnym razie połączą się z niewolnikami przeciw panom niewolniczym. Ci ostatni muszą więc zgodzić się na oddawanie pewnej części swego dochodu drobnym posiadaczom, nadto same warunki gospodarstwa niewolniczego zniewalają ich do trzymania licznego zastępu dozorców i dworzan zbrojnych — dla obrony przeciw niewolnikom. „W stanach niewolniczych bezpieczeństwo publiczne jest w prostym stosunku do liczby białych... ale teoretyczna doskonałość systemu niewolniczego wymaga, aby liczba ta nie była zbyt wielką po nad normę wymaganą w tym celu, aby można było niewolników utrzymać w posłuszeństwie, nadmiar zaś jedynie zmniejszy dochody właścicieli.“ Wreszcie panowie niewolników, dzięki warunkom uciążliwej pracy, nie mogą poprzestać na naturalnym wzroście ich liczby, gdyż śmiertelność tutaj jest bardzo znaczną i po kilku pokoleniach zniszczyłaby samą siłę roboczą. Muszą więc wciąż kupować świeży towar ludzi, a kupno to staje się dla nich niezbędnym warunkiem istnienia. Tem samem dostają się w ręce przekupniów, trudniących się sprowadzaniem i sprzedawaniem mięsa człowieczego. Wszystkie te niedogodności wzrastają w miarę rozszerzania się stosunków handlowych. Każdy kapitalista w chwili zastoju wyrzuca na bruk robotników, pan niewolników tego uczynić nie może — straciłby kapitał. Musi więc żywić bezczynną siłę roboczą, którą znowu ogładza, aby podczas dobrego biegu interesów obarczyć nadmierną pracą. Niezadowolenie wśród niewolników wzrasta wraz ze śmiertelnością; dozorcy muszą być liczniejsi, przekupnie mięsa ludzkiego stają się wszechwładniejsi. Zyski zmniejszają się szybko. Jednocześnie wydajność gospodarstwa niewolniczego jest zbyt mała, aby umożliwić dalszy wzrost ludności i dalszy postęp społeczny. Niewolnictwo staje się ciężarem nietylko dla niewolników, lecz i dla panów, oraz tamą dla dalszego rozwoju. Panowie oglądają się teraz za nowym systemem współdziałania, który im przynosił większe dochody. Wyjście może być tylko jedno. Trzeba niewolników oswobodzić, olbrzymie przestrzenie rozparcelować i oddać tym wyzwoleńcom pod warunkiem opłacania określonego czynszu. Przejście to dokonało się w starożytnej Italii pod wpływem takich czysto ekonomicznych przyczyn; podobne zjawisko widzimy też wszędzie w koloniach: na Antyllach i w wielu innych miejscach niewolnictwo na pewnym szczeblu rozwoju rozprzęga się i ustępuje miejsca drobnym gospodarstwom. Lecz te gospodarstwa nie są już przedzielone od siebie olbrzymiemi pustkowiami. Powstają one na podścielisku historycznem niewolnictwa, uprawiają grunta mniejszej wydajności i znajdują się w pobliżu. Z czynszu przy pewnych warunkach historycznych wyłania się pańszczyzna, która znowu w pewnym okresie swego rozwoju staje się mało wydajną z jednej strony i mało rentującą z drugiej. Właściciele ziemscy przechodzą wtedy do dalszej fazy — najmickiej.

Streściliśmy w ogólnych rysach poglądy badacza włoskiego na czynniki, rządzące ukazywaniem się kolejnych ustrojów ekonomicznych. Niewolnictwo, któremu zajęliśmy się szczegółowiej, wykazało nam w pełni żywiołowość rozwoju. Postęp polega na bezustannem wzrastaniu ludności; lecz ten przyrost jest możliwy jedynie przy przechodzeniu do odmiennych a coraz wydajniejszych systemów gospodarowania. Zyski są pobudką, ktora pcha ludzi do wyłonienia tych nowych stosunków gospodarczych, umożliwiających dalszy postęp. Z braku miejsca niepodobna nam iść krok w krok za autorem, kreślącym rozmaite fazy rozwoju ludzkości; przepowiada on, iż nastaje teraz nowa epoka, w której praca najmicka nie będzie już odpowiadała wymaganiom postępu w zakresie wytwórczości i aby rozwój nie stanął, winna ona ustąpić swego miejsca swobodnemu a masowemu zrzeszeniu wysiłków na wolnych gruntach. Wraz z tymi ustrojami zmieniają się kategorye ekonomiczne. Zysk kapitalistyczny, który nie może istnieć w pierwotnej epoce dziejów, kiedy ziemia jest wolną, ukazuje się dopiero z niewolnictwem i zmienia się w zależności od stosunku człowieka do własności ziemskiej. Zbadaniem tych praw organicznych gospodarstwa ekonomicznego zajmuje się tom pierwszy *Rozbioru własności kapitalistycznej*.

*Lud. Krz.*

---

# LITERATURA I SZTUKA.

## LITERATURA FRANCUSKA.

Ferdynand Brunetiere. *L'evolution des genres dans l'histoire de la critique*. Tom I. Paryż 1890.

Teorya rozwoju nadała w ciągu ostatnich lat 30 nowe podstawy i nowy kierunek nie tylko naukom przyrodniczym, ale historyi i filozofii. Tylko dziedziny piękna, literatura i sztuka, wzdragając się przed „ohydnem widmem pochodzenia od małpy,“ odżegnywały się od teoryi zwycięzkiej w innych dziedzinach umysłowości. Tymczasem naukowe badanie literatury doszło obecnie, po pracach Taine'a, do takiego stanu, iż bez teoryi rozwoju nie może ono postąpić ani na krok. Oparcie krytyki literackiej na tej podstawie stanowić będzie cel pracy, której tytuł wyżej przytoczyliśmy. Niniejszy tom daje tylko wstęp do niej i zawiera historyę dotychczasowej krytyki francuskiej, poczynając od Odrodzenia aż do chwili obecnej. Przedstawmy ją w głównych rysach. Autor odróżnia w niej siedm zupełnie odrębnych okresów.

W pierwszym z nich, który trwał od r. 1550 do 1605 i rozpoczyna się od Du Bellay'a, a kończy się na Malherbe'ie, krytyka nie jest jeszcze świadomą ani swych celów, ani środków. Znajdując się wobec arcydzieł starożytności, stara się ona po omacku rozpoznać i określić wrażenia wzbudzane przez nie, a zarazem przyczyny tych wrażeń.

W drugim okresie, który trwał od r. 1610 do 1660 starano się uogólnić rezultaty uprzedniej pracy. Określiwszy przyczyny, dla których Homer lub Wirgiliusz się podobali, krytyka starała się ustanowić ogólne prawidła i recepty dla każdego rodzaju literatury, aby każdy człowiek dobrej woli mógł, zastosowawszy się do nich, tworzyć arcydzieła. Głównym działaczem tego okresu był Chapelain. Boileau, ten „prawodawca Parnasu,“ nie odstąpił od tej zasady, posunął ją tylko o jeden krok naprzód. A mianowicie, ustanawiając trwałe prawidła dla wszystkich rodzajów sztuki, stara się on znaleźć dla nich usprawiedliwienie i podstawy nie tylko w umyśle ludzkim, ale nawet w naturze. Okres ten trwa od pojawienia się pierwszych satyr Boileau (1680), aż do chwili, gdy „nowożytni“ skierowali przeciw niemu swe napady (1780).

Kilka młodych umysłów, na których czele znajduje się Perrault, ogłasza wyprawę przeciw tradycyi, starożytnym i „prawodawcy Parnasu.“ W imieniu postępu wymagają oni dla każdego pisarza prawa należenia do swego czasu i tylko do niego. Wysiłki ich w części uwieńczone zostały powodzeniem. Szkoła Boileau zachowała wiele jeszcze wpływu głównie dzięki temu, iż „młodzi“ nie mogli darować „starym“ pod względem talentu.

W sporze tym Voltaire po pewnych wahaniach stanął na stronie Boileau. W opozycyi pozostało kilku niezależnych z Diderotem na czele. Pomimo to wszakże panowanie Voltaire'a przez cały okres piąty, od r. 1730 do 1790, pozostaje nieograniczone. Wogóle można powiedzieć, iż przyjął on poglądy Boileau, ścieśniwszy i rozszerzywszy je po trochu. W ślad za nim poszli Marmontel, Laharpe i wielu innych. Sprawę młodych, sprawę osobistości wobec tradycyi podjął dopiero Rousseau, ale całe pokolenie musiało przejść zanim poglądy jego zostały należycie ocenione. A mianowicie, dopiero z panią de Staël i Chateaubriandem rozpoczyna się właściwie historya krytyki nowożytnej, jakkolwiek jej początki można znaleźć jeszcze u Perraulta, a następny jej rozwój odnaleźć później w Diderocie i Rousseau. Krytyka ich była wszakże czysto racyonalistyczna, odrzucano reguły Boileau z punktu widzenia osobistego. Dopiero znajomość literatur cudzoziemskich wręczyła Staëlowej i Chateaubriandowi nowy oręż do walki ze „starymi“: odkryto takie rodzaje piękna, do których reguły powyższe w żaden sposób zastosowane być nie mogły. Wyzwolono się od wszelkich więzów i krytyka przybrała charakter czysto subjektywny. Trwało to następnie poprzez okresy Villemaina i Sainte-Beuve'a. Szkoły, które pisarze ci utworzyli, nie pretendowały bynajmniej do nadania krytyce charakteru naukowego. Olbrzymi wszakże rozwój wiedzy naszego stulecia musiał się odbić i na dziełach obu tych koryfeuszów. Istotnie. Villemain, a wraz z nim Guizot i Cousin zwracają pilną uwagę na związek pomiędzy utworami literackimi a urządzeniami i budową społeczeństw, śród których utwory te powstają. Krytyka literacka zaczyna wyrażać dążność do oparcia się na historyi i socyologii. Sainte-Beuve natomiast czyni toż samo dla psychologii i fizyologii i stara się odkryć węzły pomiędzy dziełem a duszą, temperamentem i wychowaniem autora. Jakkolwiek więc ogólny charakter krytyki pozostawał jeszcze czysto subjektywny, nauka zaczęła powoli przenikać i do tej dziedziny ze swymi środkami, celami, dyscypliną i metodą.

Ostateczne zwycięstwo nowy ten kierunek odniósł wraz z Tainem, który stara się zrobić z krytyki naukę, opartą jednocześnie na estetyce, psychologii i socyologii a posiłkującą się metodą czysto przedmiotową. Rozbierając teoryę Taine'a, Brunetiere znajduje, iż wśród czynników rozwoju literackiego — rasa, otoczenie i moment—pierwszy wywiera wpływ mniej znaczny, niż to autor „Filozofii sztuki“ przypuszczał. Wpływ ras i ich odrębność wydają się Brunetierowi nadzwyczaj przesadzone. Taką jest np. różnica psychologiczna, którą starano się ustanowić między aryjczykami a semitami na tej zasadzie, iż zdolność metafizyczna, zdolność budowania syntez, charakteryzująca pierwszych, ma być zupełnie obcą drugim. „Jeżeli jest na świecie metafizyk, godny tego imienia, to był nim żyd portugalski, Spinoza.“ Toż samo powiedzieć można i o wpływie drobniejszych grup, dla których starano się odnaleźć podstawę przy-

rodzoną, o wpływie narodowości. Twierdzono np., iż Shakespeare nie mógłby w żaden sposób być francuzem, tymczasem obecnie istnieją bardzo poważne dowody na to, iż autor Hamleta był pochodzenia celtyckiego.

Przyjmując w zupełności dwa inne czynniki, otoczenie i moment, Brunetière sądzi, iż Taine przypisał zbyt mało wagi wpływowi indywidualizmu oddzielnych artystów. Co się tyczy klasyfikacyi dzieł sztuki, jaką Taine przeprowadza wzorem przyrodników, opierając się na cechach głównych, panujących, to przedstawia ona kilka stron słabych.

Klasyfikacya ta jest, jak wiadomo, następująca. Wartość utworu literackiego zależy od stopnia *ogólności i trwałości cech*, które on wyraża (np cechy ogólno ludzkie stoją wyżej, niż rasowe, te ostatnie — niż narodowe; cechy zaś narodu — stoją ponad cechami oddzielnego stanu), od stopnia ich *dobroczynności* (bienfaisance) i nareszcie od *układu* wszystkich cech drugorzędnych koło najwybitniejszej (convergence des éffets). Ten ostatni warunek jest czysto estetyczny i stopień, w jakim on dopiętym zostaje, decyduje między innemi o wartości dzieła. Jeżeli pierwsza i trzecia podstawa tej klasyfikacyi mogą jeszcze rościć pretensyę do objektywizmu naukowego, to druga nosi charakter czysto podmiotowy. Istotnie, gdybyśmy chcieli klasyfikować dzieła z punktu widzenia moralności, to musielibyśmy postawić nieśmiertelnie nudnego *Grandisona* ponad nieśmiertelnie pięknym *Hamletem*.

Co się tyczy tej klasyfikacyi wogóle, to autor znajduje, iż przypomina ona klasyfikacyę *naturalną* Geoffroy Saint-Hilaire'a i Cuviera, opartą także na rysach trwałych i ogólnych. Tymczasem współczesna zoologia, dzięki pracom Darwina i Haeckla, przechodzi do klasyfikacyi *genealogicznej*, opartej na historyi rozwoju cech. Brunetière uważa, iż krytyka naukowa powinna swoją drogą uczynić także ten ostatni krok. Wymaga to zupełnego zastosowania teoryi rozwoju do literatury. Pracę tę autor podejmie w tomach następnych — w niniejszym znajdujemy tylko ogólny plan dzieła.

Oto, jak on się przedstawia w głównych rysach. Po ogólnym wykładzie teoryi rozwoju (Lamarck, Herbert Spencer, Darwin i jego następcy) autor rozpatrzy, czy istnieją w literaturze rodzaje i jakie mianowicie, na czem polegało różniczkowanie się ich; przyczyny tego procesu: dziedziczność, przystosowanie (do warunków geograficznych, społecznych i historycznych) i indywidualność (ten ostatni czynnik ma, zdaniem Brunetiera, znajdować się w zupełnej zgodności z teoryą rozwoju). Nareszcie autor postara się zastosować teoryę walki o byt i doboru naturalnego do literatury. Badania te odbywać się będą nie *in abstracto*, lecz na historyi liryki, tragedyi i romansu we Francyi. Ostatecznym rezultatem będzie dopiero klasyfikacya. Taki jest ciekawy program, który Brunetière sobie postawił.

*L. W.*

---

## ROMANS HYGIENICZNY.

P. Mantegazza. *Chora miłość*, Warszawa. 1891.

Wyznaję, że w prostocie ducha mego uważam romans hygieniczny za takie same bzdurstwo, jak — dajmy na to — komedyę elektryczną, dramat matematyczny lub poemat, osnuty na motywie z chemii organicznej. Jeśli zaczniemy apostołować przepisy hygieny za pomocą romansów, to czy nie nabierzemy chęci dowodzenia słuszności twierdzeń matematycznych... w sonetach? Równa racya. Weźmy zresztą na uwagę, że hygiena obfituje w wielką ilość jednakowo cennych dla zdrowia i pomyślności ludzkiej przepisów, skoro więc z tego źródła bierzemy jeden temat, to czemuż nie wziąć drugiego i trzeciego?.. Szanowny profesor florencki upiera się przy tem, że ludzie dotknięci suchotami lub zrodzeni z suchotników nie powinni się żenić. Nie słuszniejszego. No, a ludzie, których nie stać na wynajęcie obszernego, suchego i widnego mieszkania, oraz na codzienny obfity i zdrowy posiłek dla siebie i przyszłej rodziny — tacy, czy powinni się żenić? Nie, a zatem piszmy romans, naturalnie w listach, od Wiliama do Emmy i *vice versa*. Wiliam wyznaje Emmie miłość i prosi ją, żeby zostawszy jego dozgonną towarzyszką, zamieszkała z nim razem w jednej z warszawskich suteren.

Oto wyjątek z jego listu: „Pozwól droga przyjaciółko, żebym ci opisał przyszłe nasze gniazdko. Wyobraź sobie izbę dość obszerną z podłogą przegniłą i ścianami czarnemi, sączącemi wilgoć latem i zimą. Słaby odblask dnia przedostaje się tutaj przez parę szybek matowych z przyczyny pokrywającej je warstwy brudu. Pojmujesz, moja przyjaciółko, że nie jestem w możności odnajęcia całej izby, i że zajmiemy w niej tylko jeden kąt. Prócz nas pomieści się tam jeszcze ośm osób, w tej liczbie czworo dzieci i jedna [illegible] Jest to bardzo dobra kobieta, wspominam o niej jednak nie z powodu jej zalet, lecz dlatego, iż nieustanny odór mydlin i brudnej bielizny, oraz para z nagrzewanej wody stanowić będą drobną nieprzyjemność, z którą trzeba będzie się oswoić. Ufam jednak, że gorąca miłość nasza przezwycięży etc. etc." A oto odpowiedź Emmy: „Kochany panie Wiliamie, nie zdaje mi się, żebyśmy mogli w naszych warunkach materyalnych wychować dzieci nasze na zdrowych, silnych i wytrwałych pracowników? Chciej pan obliczyć, czy w mieszkaniu, o którem piszesz, dziecko nasze znalazłoby na swój użytek wyłączny choćby jeden cal sześcienny świeżego powietrza? Bądźmy uczciwi, nie skazujmy na pożałowania godną egzystencyę istoty, która byłaby dla nas bardzo droga. Wybacz więc etc. etc." Nie wątpię, że każdy czytelnik powyższego romansu przyklaśnie rozsądkowi Emmy, ale czy ktokolwiek z nich nie zapyta, po co ten Wiliam i ta Emma, po co jakieś listy, skoro odnośny rozdział hygieny Réclama zaznajamia nas w sposób nierównie ciekawszy i dokładniejszy z kwestyą zdrowotności ludzkich mieszkań?

Podobną uwagę nasuwa powieść Mantegazzy. Autor w romansową osnowę wplata parę ustępów z hygieny. Widzimy tu dwoje młodych ludzi gorąco w sobie zakochanych i znajdujących na drodze połączenia się z sobą fatalną przeszkodę. Młoda kobieta jest córką suchotnika, wszyscy bracia jej i siostry stali się ofiarą tej choroby, ona sama jest nią zagrożona, a przytem wiąże ją przysięga, do której ojciec przed skonaniem ją zniewolił — przysięga, iż nie wyjdzie za mąż. Młodzi probują jednak walczyć z przeznaczeniem, Emma udaje się do najznakomitszych lekarzy londyńskich, którzy wysyłają ją na Maderę, czyniąc jej nadzieję, że będzie zdrową. Nadzieja ta jednak nie ziszcza się, Emma umiera, zyskując pochwałę autora zato, iż nie wyszedłszy za mąż, nie przekazała dzieciom swej choroby.

Autor napisał swój romans stylem barwnym, starał się usilnie uczynić obraz gorącego uczucia zajmującym i poetycznym, skreślił w obrazie tym wiele rysów psychologicznie prawdziwych, wprowadził doń naturę i dowiódł, że posiada poczucie jej, a przecież bohaterowie jego tak nie zgoła nie są obleczeni w kształty realne, iż część romansowa tej książki przykre sprawia wrażenie. Natomiast to, co pozostaje własnością hygieny, jest słuszne i właściwe, to zaś, co odsłania zakątki myśli samego autora, ciekawe.

Przewodnia myśl książki streszczona jest w testamencie ojca Emmy. Kto będąc chorym chce mieć jednakże dzieci, ten jest złym ojcem, ponieważ poi je trucizną, złym obywatelem, ponieważ daje społeczeństwu niedołężnych członków i złym człowiekiem, ponieważ niszczy najwyższe dobro rodziny ludzkiej: zdrowie i siły. Niema ani jednego argumentu, któryby świadczył, że dotknięci epilepsyą, waryaci lub suchotnicy mają prawo przekazywać pokoleniom przyszłym epilepsyę, suchoty i szaleństwa w drodze związków małżeńskich. Autor przytacza wymowne przykłady dziedziczności i zaraźliwości suchot i z ironią opowiada o sprzecznych metodach leczenia ich.

Wszystko to piękne, poco jednak w usta zmyślonych ludzi wkładać niezmyślone prawdy, dostarczone przez naukę, po co kazać kochankom powtarzać ustępy z medycyny i hygieny, dlaczego, posiadając dar zajmującego i przystępnego wykładu praw naukowych, nie wypowiedzieć leżącej na sercu kwestyi w sposób jasny, prosty, przekonywający, słowem, godny uczonego? Broszura lub odczyt popularny — oto forma, która pozwoliłaby autorowi poprzeć roztropne swe przestrogi mnóstwem ciekawych faktów i spostrzeżeń, wypowiedzianych swobodnie, bez krępowania się względami, jakie trudno zaprzeczyć formie romansowej i gdyby szanowny profesor tak sobie postąpił, praca jego byłaby o wiele więcej użyteczną i nie przysporzyłaby dziwotworów w literaturze pięknej.

*F. B.*

---

## ŚROD MUZ.

### III.

Jak wiadomo, Bachus pocieszył opuszczoną przez Tezeja Aryadnę na wyspie Naksos. Heine tłomaczy sobie ten mit przenośnie, zgodnie z regułą: „dobry trunek na frasunek," czyli że piękna córa Minosa oddała się trunkom, wcielonym dla poezyi w żywą postać bożka. Zdaje mi się, iż do takiej interpretacyi skłania się ukośnie i medycyna, jak to widać z terminu o nadużyciach „In Baccho et in Veere."

Tak czy owak, nie ulega wątpliwości, że nie obeszło się tam bez obfitych libacyi; niebo zanadto było szafirowe, przynajmniej na obrazie Hansa Makarta — konary drzew za gęste i cieniste, ażeby mogły nie skusić do należytego „oblania" tryumfu Aryadny.

„Salon" Krywulta dobrze zrobił, że sprowadził „olbrzymie" to, jak powiedziano w ogłoszeniach, płótno; można by go posądzić, że pragnął zatrzeć niesmak po pretensyonalnym a obrzydliwym kiczu Boucharda; albowiem cokolwiek kto powie o dziełach Makarta, trudno odmówić mu dobrego smaku, bogatej natury i wielkiego życia.

Naturalnie wrażeniem ostatecznem, z jakiem się żegna Bachusa i Aryadnę, jest i żal i duma zarazem, że malarstwo tak rącze, tak okropnie rącze postępuje, jak gdyby włożyło na nogi siedmiomilowe buty. Toż wielkie to dzieło znakomitego malarza, który zaledwie parę lat temu umarł a do grobowej deski elektryzował wiedeńczyków, a zwłaszcza wiedenki — dobrze już trąci myszką! Ile stopni przebyła od owej chwili sztuka, jak odbiegła od tych odgłosów Rubensa, w których są nagości i pogańskie napawanie się ciałem ale niema jego potężnej fantazyi i kolosalnej brawury!

Makarta z jego zamiłowaniem do przepychu strojów i barw, zamieniających obrazy na wspaniałe parady i pompatyczne ceremonie, w tryumfie Aryadny szukalibyśmy naprózno. Niema tu nic oryginalnego, nic osobliwego, nic wychylającego się po za linię zwykłą tematów erotyczno-greckich a natomiast jest zupełny brak światła i wyrazistości układu. Trudno, co prawda, przy kilku zapałkowych płomykach Siemensa, mających zastępować okno w górze, odgadnąć, w jakiej porze dnia scena się rozgrywa i sądzić by można, że to godzina, bliska zmierzchu, ale gdyby nawet tak było, to jeszcze nie wypływałoby stąd, że rydwan ze

złotej konchy zrobiony, ciągnąca ją pantera czy tygrys, Aryadna, Bachus, Sylen, Satyr, brzeg morza i tęgie pnie drzew powinny się mięszać, skłębiać w jedną zbitą masę. Widz jest niepokojony przez mnóstwo zagadek: czy brzeg morza jest łagodny, czy urwisty, czy też posiada sztuczny zręb, jak by domyślać się można z wyraźnej i prostej linii poziomej, w jakim celu wielka nereida w pośrodku terenu gramoli się z wód, czy na prawo tryton unosi nereidę nad fale, czy ją w toń ściąga. Cały układ grupy jest niejasny, niewytłomaczony, jak się należy, i co najwięcej sprawiać może efekt pojedyńczemi postaciami niż grupą, zespoloną i zharmonizowaną w jeden akord wiwatu i szału. A przytem górująca nad całym tłumem, niby szczyt piramidy, Aryadna, ma minę i postawę strasznie niewyraźną. Zwycięzka jest w ruchu i pozie jak gdyby w muszli swej mknęła naprzód; że jednak wraz z orszakiem całym stoi w miejscu a zwierzę, wiozące ją legło sobie spokojnie, więc cała kompozycya robi wrażenie „żywego obrazu,“ mechanicznie ułożonego motywu z opery, słowem jest naciągana i pełna afektacyi. Rzekłbyś, iż tu działała świadoma reżyserya, bo nawet Bachus, który z tyrsem w ręku stoi obok rydwanu, nie wypowiada swą twarzą nic innego, nad to, że jest zadowolony z szopki, którą dla publiczności płetwiastej z morza i na uciechę pań z nad Dunaju ustawił.

Co się tyczy momentów pojedyczych, to i one mają wartość bardzo rozmaitą, przeważnie skromną bardzo.

Punkt, ogniskujący w sobie całą fabułę, Aryadna, nie jest w stanie trafić do umysłu. Nie błyszczy ona zgoła wytworniejszą urodą, nie wygląda na córę króla, ale prędzej na niebrzydką modelkę, której w dodatku malarz zrobił węglem dołki po obu stronach ust, boć nikt nie powie chyba, że dołki Aryadny są wdziękami prawdziwymi, jak nikt nie powie, że naturalnym i nieprzesadzonym w swych rozmiarach jest jej pępek.

Bachus zaś, bo on to pewnie w wieńcu z liści winogradu podpiera rydwan — to czystej krwi mężateczka, albo ciepła wdówka z uśmiechniętemi łagodnie oczami, tak dalece, że głowa ta na męzkim torsie wprost do śmiechu pobudza; niemile przytem razi mdły przysmak w twarzach obojga kochanków; nie szukajcie tam zachwytu, upojenia, rozkoszy, nie jest to tak zwane *brio*, ale pospolity spokój a z niego wyziera niemoc artysty.

Bardziej na lewo, ramieniem spleceni, słaniają się Sylen i stary Satyr. Pierwszego głowa, sama w sobie ładna, wypukła, dobrze sklepiona, spuszczona jest z takim tragizmem, jakgdyby to był konający Sokrates, a nie miech z winem, który z przepełnienia traci równowagę. Doskonały jest kompan jego, również ogorzały i w dodatku kosmaty i koźlonogi. Pyszny to typ „zbereźnika,“ z dużą siłą oddany; oczy krwią nalane, cyniczny uśmiech dokoła pożądliwych ust, sama sprośność i brzydota; obadwaj tworzą najlepszą bodaj cząstkę obrazu dla starannie wymodelowanych swoich ciał.

Dalej idzie grupa, na którą składają się dwie młode ładne bachantki i dwóch małych satyrków. Czy one siedzą, czy upadają — trudno zbadać, ale jedna z nich, całkiem naga, śliczną ma karnacyę i ogólną sylwetkę figury bardzo wdzięczną i szczęśliwą. O nią też widocznie Makartowi głównie chodziło, twarze bowiem jednej i drugiej, bardzo poważne, ale tchnące pewną niewinnością nie usprawiedliwiają wcale ich lubieżnej roli; usteczka przesadnie małe, wyraz zawstydzenia w oczach z powodu, że nie mogą opędzić się dwojgu fauniątkom, które zdzierają z nich szaty, ciekawe pięknych bioder i ud. (Jak się te bębny rozwijają!). Grupie tej przypada bodaj lwia część ogólnej uwagi, bo ma w sobie bardzo dużo uroku. Z nią sąsiaduje centaur, którego dolna połowa, końska, z białą sierścią, mocno i prawdziwie stoi na swoich czterech nogach, górna zaś znowu niewiadomo dlaczego przy piersiach męzkich ma twarz starej baby.

Dużo jeszcze innych figur bierze udział w festynie. Pan między drzewami na flecie wygrywa, inni biją w tympany; pełno też akcesoryów i natury martwej ma potęgować hulaszczość: łozy wina, owoce południowe, pyszne draperye, ale całe to muzeum, jak gdyby wzięte żywcem z Hamerlingowskiej „Bachanalii“ w *Ahasverusie*, choć może w innych warunkach oświetlenia podnosi bogactwo kolorytu — w salonie jednak tutejszym ginie razem ze wszystkimi tonami ciemniejszymi w jednostajnym brunatnym światłocieniu, który daje dziełu pozór paruwiekowej starości.

Wogóle „Tryumf Aryadny“ budzić może chyba tylko zachwyt kłamany i dzisiejszym wymaganiom ekspresyi w sztuce i naturalności układu bardzo słabo czyni zadosyć. Może to uprzedzenie, ale zdaje się, że wycisnął na nim swą pieczęć Wiedeń ze swym Stransem i walcami. Z nim razem dzieli zaletę temperamentu, ale temperamentu... niemieckiego, brak wyższego smaku i oryginalności. Te menady i bachantki najlepiej by zrobiły, gdyby razem z faunami puściły się... walca. Wyspa Naksos stałaby się wtedy Praterem i — wszystko byłoby „w porządku.“

*Cezary Jelenta.*

---

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### NOWY DRANG NACH OSTEN.

Postawa, jaką niemiecka demokracya społeczna przybrała po zniesieniu praw wyjątkowych, zwłaszcza zaś jej wyprawa propagatorska do ludu bezrolnego, dały sposobność *Warszawskiemu Dniewnikowi* do wypowiedzenia w nr. 25 kilku uwag o możliwych postępach tego wpływu w kierunku wschodnim. Oto w jaki sposób ten dziennik opisuje ów żywioł, wypiastowany na łonie kapitalizmu europejskiego.

„Nie ulega wątpliwości, że socyaliści niemieccy stanowią przednią straż i główny sztab armii tego nowego najazdu na kulturę chrześciańską, który prawie powszechnie uknuła różnoplemienna i różnojęzyczna, chociaż beznarodowa brać socyalistyczna. Okazuje się, że nigdy jeszcze jej przywódcy nie byli tak pewni siebie, tak czynni i poważani przez zwolenników przewrotu wszystkich plemion, jak właśnie w obecnej chwili. Bebel, Liebknecht i inni „generałowie“ berlińscy jawnie odbierają z różnych krajów pieniądze, nie licząc tych dziesiątków tysięcy, które do nich napływają skrycie.“

Sami zaś ci generałowie — powiada *Dniewnik* — już to zakładają akademie robotnicze, w których mają się kształcić roznosiciele „idei przewrotowych,“ już to doskonalą dawne wydawnictwa (do starej nazwy partyjnego organu *Berliner Volksblatt* dodali nazwę *Vorwärts!*) i wydają nowe (polska *Gazeta robotnicza*), już to nareszcie kierują układaniem i rozpowszechnianiem broszur i pism ulotnych, np. *Elementarz*, w którym zawarte jest abecadło zasad społeczno-demokratycznych... „Od czasu jak przestali bać się światła dziennego, ulubioną formą zebrań dla społecznych demokratów są tłumne wycieczki-zamiejskie z całemi rodzinami. Mężczyźni z kuflami piwa w rękach rozmawiają lub słuchają mów, śpiewają swoje pieśni, kobiety z robótkami w ręku im wtórują, dzieci bawią się w piłkę itd. Wszystko to wygląda z pozoru *ganz gemuthlich*, chociaż na tych zebraniach toczą się obrady nad sposobem „wyważenia z posad tegoczesnego świata.“

Taki niewinny wygląd tego żywiołu budzi podejrzenie w *Warszawskim Dniewniku*. Chociaż w szeregach demokracyi społecznej panuje wesoły nastrój ducha, nawet pewna dobroduszność, najgroźniejszem jest to, że ci ludzie zmiany polityki względem nich nie przypisują łasce Wilhelma II. tylko własnej zasłudze. Czują się oni dziś nie jako *ecclesia militans*, lecz jako uznana strona wojująca.

„Dla nas, mieszkańców „kraju nadwiślańskiego“ — wnioskuje *Dniewnik* — dla bezpośrednich sąsiadów Niemiec, fakt ten jest wielkiej doniosłości z tego mianowicie powodu, że jak się okazuje, niemieccy demokraci społeczni postanowili swoją propagandę skierować na Poznańskie, Szląsk i Prusy zachodnie a poprowadzić ją tam przeważnie śród ludności wiejskiej, to jest głównie między polakami, a więc propagandę tę posunąć ku naszej stronie. Po sztundzie, która zaraziła Nową, Małą, a nawet i Białą Ruś, to nowe usiłowanie niemieckiego duchowego *Drang nach Osten* tem bardziej nie może się nam podobać w żaden sposób.“

Istotnie, groza położenia nie jest przesadzoną. Dość sobie uprzytomnić (*Dniewnik* też uprzytomnia) plan propagandy zamierzonej, który rozwija *Berliner Volksblatt*: „Robotnicy wiejscy, nawet ci, którzy 20 lutego 1890 r. głosowali za demokratami społecznymi, według jego słów, nie należą do nich wcale. Jest nim ten, kto „zupełnie innem okiem patrzy na porządek świata,“ robotnik zaś wiejski nawet abecadła jeszcze tego poglądu nie zna. Dlatego też nie należy przystępować do niego z „programem zasadniczym,“ nie wypada mu mówić odrazu o planach przyszłości. Potrzeba z początku wyjaśnić mu, jak nędznym jest jego obecny żywot i jak niezbędną reforma. Robotnik wiejski jest nieufny, zachowawczy i nieprzyjazny dla mieszczucha, wymowa agitatorów miejskich nie wywrze na nim żadnego wpływu. Rozmawiać z nim należy prościej, jego własnym językiem; dlatego też agitatorami wiejskimi winni być ludzie poważni, wytrawni, żyjci dobrze ze wsią i znający obyczaje i zwyczaje wiejskie — wiejski byt.“

Plan ten działania stosuje się szczególnie do ludności polskiej w Poznańskiem i na Szląsku. *Dniewnik* smuci się, że dla tej przewrotnej działalności grunt tameczny jest już przygotowany. „Robotnicy polscy— powiada on — oraz ludność fabryczna w tych prowincyach, oddawna demoralizująca się wędrownymi zarobkami w Westfalii, Saksonii, Meklemburgu, Berlinie i innych wielkich miastach niemieckich, stanowią, niestety, grunt już uprawiony dla rozwoju kąkolu socyalistycznego.“

Wobec tego wszystkiego — zaznacza *Dniewnik* — iż zniesienie zakazu Bismarkowskiego względem wstępu robotników wiejskich naszego pogranicza nabiera szczególnego znaczenia i może być tylko ułatwieniem, jedną tamą mniej dla nowego *Drang nach Osten*...

*Zyg. Pietkiewicz.*

---

## PAMIĘTNIK.

**Rozmyślania wielkopostne.**

Dziesięć lat, to jest tyle, ile *Prawda* istnieje, przedstawiamy bądź ze smutkiem, bądź z ironią bezmyślny szał, wystrojoną i tańcującą bajaderę naszej dobroczynności, orgię zbytku, wyprawiane pod imieniem nędzy w zimowych i letnich karnawałach. W prasie, w której chóralnie brzmią tylko reklamy, a słuszne głosy odzywają się zwykle w solach bez akompaniamentu, ta nasza arya zapustna nie wywołała nawet duetu. Przeciwnie, pomrukiwamy, że występując przeciw zabawom, osłabiamy energię społeczeństwa i szkodzimy uprawnionym interesom stanów, żyjących ze zbytku — kupców, szwaczek itp. Ale

nareszcie w samem społeczeństwie objawił się czy przesyt zabaw, czy poważniejszy nastrój myśli i opamiętanie, że z tej gorszącej i śliskiej drogi zejść trzeba. Ten zwrot zaczyna odbijać się w prasie. *Wiek* z głową posypaną popiołem wszedł na ambonę i wypowiedział kazanie, w które śmiało możnaby wpleść słowa naszej oddawna głoszonej ewangielii. „W ubiegłym karnawale — powiada on — bawiono się bardzo, a bawiono się przeważnie w celach filantropijnych. Kto poszedł na zabawę publiczną z żoną i — dajmy na to—dwiema córkami, wzbogacił instytucyę dobroczynną o kilka rubli, a sam zubożył się o kilkaset; że zaś zabaw podczas karnawału było kilkadziesiąt, a na każdej znajdowało się osób przecięciowo dwieście, łatwo więc wyobrazić sobie, jak znaczne pieniądze pochłonęły zabawy na cel dobroczynny i jak marna stosunkowo cząsteczka tych wydatków dostała się dobroczynności. Bezmyślność i bezcelowość takiej filantropii rzuca się w oczy i w rzeczy samej czas jej nareszcie zapobiedz... Dość już tego... Obowiązkiem ludzi poważniejszych i jaśniej na rzeczy patrzących jest ten bezmyślny a w skutkach bardzo szkodliwy dla wielu jednostek, a zatem i dla ogółu szał wszelkiemi siłami powstrzymywać. Uprzedzamy też, że na przyszłość wszelkie bale, jako objawy karygodnego marnotrawstwa i zbytku, stanowczo z kroniki *Wieku* usuniemy i pisać o nich nie będziemy wcale." Brawo! — ale należało to zrobić dawno. Znaczna część winy tego chorobliwego i gorszącego rozhulania się pewnych klas społeczeństwa spoczywa na pismach peryodycznych, a zwłaszcza na *Kuryerach*, które obszernemi sprawozdaniami z balów, niby z jakichś ważnych zebrań, opisami kosztownych sukien, publicznem odznaczaniem kobiet najstrojniejszych, podniecały szał i pobudzały do zbytku. Wiadomo nam, że po każdym balu płeć nie tyle piękna, ile pusta chwytała gorączkowo *Kuryery*, ażeby w nich znaleźć wzmianki o swoich tryumfach. Było to lekkomyślne rozpalanie namiętności lichych i dla naszego społeczeństwa szczególnie szkodliwych.

Zdumieniem i wstydem ogarnia nas myśl, że żaden naród w Europie nie bawi się tak zawzięcie i kosztownie, jak my. Redaktor *Kuryera warszawskiego* zobowiązał p. G. Zapolską do opisania karnawału paryskiego. I oto jakie sprawozdanie nadesłała mu korespondentka. „Nie mogłeś mnie wprawić w większy kłopot.. Wy tam nad Wisłą macie tyle balów: zimowych, styczniowych, panieńskich, kawalerskich, pudrowanych, malowanych, literackich, słowem, taką moc i „zatrzęsienie" zabaw, że litość poprostu ogarnia, czytając ich wyliczenia. A w dodatku domowe wieczorki i znów te „skromne," „wełniane," „niciane," te... aby się młodzież przetrzęsła. *Histoire simple* — trzęsie też i trzęsie, aż tu się echo dostało i obudziło mnie jednem słowem: karnawał! Ależ tu, nad Sekwaną, prawie niema karnawału! Istnieje on dla milionerów i dla półświata. Francuz siedzi w domu, w kółku swoich przyjaciół, a zapytany o zamiar spędzenia karnawału wzruszy ramionami, jakby to słowo wypadło mu z pamięci." Pomyślmy tylko: stolica najbogatszego w świecie narodu, ognisko największego zbytku i uciech, Paryż nie bawi się w karnawale, a Warszawa, powtórzmy sobie: Warszawa szaleje w ciągłych balach! Czy można sobie wyobrazić złośliwszą ironię? Zaisto kulawy djabeł Le Sage'a uśmiałby się do syta z takiego widoku.

### Z kroniki niedoli.

Maluczko, a każą nam tańczyć dla ratowania wychodźców, pragnących wrócić z Brazylii. Dalsze bowiem sprawozdania p. Dygasińskiego, chociaż nie przedstawiają całego ogromu nędzy, malują straszne jej obrazy. Biedne tłumy, ginąc w niewoli, wyciągają ręce z błaganiem o pomoc. Przygniata je niedostatek, zabójcze warunki klimatu, oszustwo rządu brazylijskiego i okrytych jego płaszczem wyzyskiwaczów. P. D. zwiedził kilka kolonij rolniczych: osadnik dostaje kawał ziemi lesistej, który musi wyciąć, wykarczować, uprawić i zasiać, nie mając do tego ani narzędzi, ani środków, ani uzdolnień. Trudno o większy tragizm położenia nad ten, na który patrzymy. Podczas bowiem gdy w Brazylii tysiące ofiar niecnego wabienia giną w rozczarowaniu i biedzie, przeklinając sprawców swego nieszczęścia, ze wszech stron nadchodzą urzędownie potwierdzone wieści, że nieświadome rzeczy i nieprzystępne ostrzeżeniom gromady ludu mają rzucić się na wiosnę w tę samą przepaść. Rząd brazylijski zaś, czy tam ktoś za jego plecami widocznie postanowił dalej przeciągać sieci emigracyjne przez nasz kraj, skoro u redaktora *Gazety świątecznej* zjawił się jakiś agent, ofiarujący mu 15,000 rs. za nieodradzanie wychodźctwa. Biedny lud ponosi niezasłużoną karę za ciemnotę, bo gdyby umiał czytać i dowiedział się o wszystkich doniesieniach z Brazylii, ogłaszanych przez prasę, z pewnością uległby im i nie zacinał się w swym zgubnym uporze. *Z.*

### Przeciw „samoobronie."

*Embarras de richesses* dokuczył już Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu, które znalazłszy się w posiadaniu zbyt wielkiej liczby folwarków, uznało, że „dewastacya" jest bardzo nieprzyjemnym wynalazkiem. Dopóki jej skutki znosił Icek, Mosiek lub wreszcie jakikolwiek wierzyciel, dopóty ta „samoobrona" ziemiańska nie psuła krwi Towarzystwu. Ale gdy ono samo zaczęło doznawać przyjemności Icków, Mośków i wierzycieli, gdy nabyło obszerny wianek majątków „zdewastowanych," niewartych jego pożyczki, musiało „chwycić się środków, mających na celu skuteczne zabezpieczenie dóbr przeciw rozmyślnemu ich niszczeniu." I jakież to mają być środki?

1, Powierzenie szczegółowego dozoru w dobrach jedynie stowarzyszonym lub delegatom taksowym, znanym dyrekcyom szczegółowym z gorliwości i dokładności w wykonywaniu przyjętych obowiązków.

2. Należyte informowanie delegowanych, że o zaprowadzonym dozorze należy jednocześnie zawiadomić sołtysa i wójta gminy, że protokół czynności obejmować powinien opis budowli i całego stanu dóbr, tudzież wyszczególnienie inwentarzy żywych i martwych, oraz innych przedmiotów pod dozór oddawanych, że dozór powierzać należy osobie na zaufanie zasługującej, od której nadto ściągnięta być powinna deklaracya na piśmie, że obowiązki poruczone przyjmuje.

3. Zawiadomienie bezzwłoczne naczelnika powiatu o zaprowadzonym dozorze.

4. Wydanie polecenia delegatom taksowym, aby przekonywali się osobiście o wykonywanym nadzorze i składali o tem co miesiąc raporty dyrekcyom szczegółowym.

5. Kontrolowanie wykonywanego nadzoru przez samych radców, w razie uznanej przez dyrekcye szczegółowe potrzeby.

6 Wzywanie pomocy władz sądowych i administracyjnych w właściwym czasie i w razach koniecznych.

7. Składanie raportów dyrekcyi głównej o zaprowadzonym dozorze szczczególnym, przy dołączeniu protokółu delegowanego do tej czynności.

I znowu powtórzmy to, co przy sprawie karnawału: czemu nie wcześniej? Na owem „zabezpieczeniu," które bodajby było „skutecznem," straciłby ten i ów „stowarzyszony," ucierpiałaby wogóle „samoobrona" ziemian, ale ileż zyskałaby ich moralność i ich kredyt! Jeżeli dziś hipoteka szlachecka ma dla kapitalisty taką wartość, jak akcye kanału Panama, to tylko dzięki „dewastacyom," dzięki przekonaniu, że majątek, przedstawiający wartość 50,000 rs., po subhastacyi spadnie do 20,000 lub niżej. „Najstraszniejszy djabeł na wylocie" — powiada przysłowie. Dziś zamiast djabła można wstawić właściciela ziemskiego, który przy wylocie niszczy nieraz pracę kilku pokoleń. Potrafi on bardziej zrujnować siedzibę, którą niby kochał, niż orkan. Można nieraz widzieć obrazy potworne: rozbieranie domów i zabudowań gospodarskich, wycinanie drzew owocowych, palenie stert, zdzieranie ogrodzeń itp. I jak tu wobec podobnej zagłady można myśleć o urzeczywistnieniu marzeń rolnika — o tanim kredycie? *O.*

### Towarzystwo myśliwskie.

Towarzystwu racyonalnego polowania stanowczo nie wiedzie się, chociaż nie w polowaniu. Kiedy rozpostarło swój sztandar, zbiegły się podeń takie tłumy członków ze wszystkich sfer, że mogło ono roić o okryciu swym dachem całego społeczeństwa. Ale zaraz w pierwszej chwili zaczęła się rejterada, zwłaszcza gdy na pierwszym planie instytucyi stanęło jej życie klubowe, wielce kosztowne a niepożądane i niemające nic wspólnego z ochroną zwierzyny. Ten odpływ uczestników wzmógł się jeszcze bardziej, gdy zarząd poczynił nadmierne wydatki i wycieńczył kasę Towarzystwa. Jej chroniczna czczość, rosnąca w zwiększających się coraz bardziej zaległościach składek, zmusiła ratujących tonący okręt sterników do załatania dziur bądź oszczędnościami, bądź też energiczniejszą egzekucyą opłat. Pierwsze już podjęto: na ostatniem zebraniu postanowiono lokal dotychczasowy, kosztujący aż 4000 rs. rocznie porzucić, a wynająć tańszy, którego najem nie przekraczałby 1000 rs. Trudniejsza sprawa będzie z odzyskaniem zaległych składek. Towarzystwo bowiem liczy około 1½ tysiąca członków, ale przeszło połowa nie wniosła opłat. Zagrożono im wykreśleniem, środek ten wszakże tylko przerzedzi szeregi uprzywilejowanych zwolenników racyonalnego polowania, nie zasiliwszy kasy w mierze wymaganej. Co się tyczy reform zaprojektowanych przez Towarzystwo a wielce ograniczających dotychczasową swobodę myśliwstwa, podobno mają one się znajdować na dobrej drodze, ale nie zyskały jeszcze zatwierdzenia. *W.*

### Stróże i dzieci.

Komitet sanitarny na ostatniem swojem posiedzeniu zajmował się dwiema sprawami, którym wiecznie rozkarnawałowane społeczeństwo powinno poświęcić więcej uwagi, niż czynić zwykło. P. Suligowski ujął się za stróżami, którzy czuwać muszą przed bramą do godz. 11 w nocy, śród ostrej zimy, zalecając, ażeby im skrócono tę wartę o godzinę i dozwolono przebywać w bramie. Tych biedaków, niepokojonych dniem i nocą, licho płatnych, mieszkających w dziuplach i norach, jest w Warszawie przeszło 4000. Zarówno więc swoim losem, jak swoją liczbą zasługują oni na to prawo do osobnej „kwestyi."

W Warszawie rodzi się około 5000 dzieci „nieprawych" rocznie. Z tej liczby 2000 przyjmuje szpital Dzieciątka Jezus, a gdzie się podziewa reszta? Przeważnie giną: mordowane, zagładzane „na garnuszku" i t. d. Otóż Towarzystwo opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi opracowało projekt uorganizowania odpowiedniej pomocy i dozoru. Jakkolwiek memoryał ten, przedstawiony p. oberpolicmajstrowi, jest zbyt formalistyczny i wymaga wielu zmian, stanowi pocieszający objaw usiłowań w tym kierunku, a zarazem podstawę do pracy nad ujęciem ich w jakąś ustawę. To też komitet sanitarny powierzył go osobnej komisyi. *X.*

### Niezły środek.

Naczelnik jednego z powiatów gubernii warszawskiej — według *Kuryera warsz.*— wymyślił dowcipny środek powstrzymywania włościan, zgłaszających się do niego po paszporty, od emigracyi. Mianowicie tło-

maczy im, że w dzisiejszych czasach trzeba wszelkie umowy zawierać na piśmie, radzi tedy, ażeby takie kontrakty sporządzili z agentami, a wtedy mogą śmiało jechać do Brazylii. Rada ta trafia do przekonania chłopkom, ale bardzo się nie podoba agentom, którzy nie chcą wystawiać żadnych zobowiązań piśmiennych na bryły złota i srebra w imieniu „królowej brazylijskiej," poprzestają na obietnicach ustnych, zwłaszcza że one czasem również doprowadzają do kozy, ale nie tak stanowczo.

### Przyczynek do psychologii.

Dawno już zauważono, że śród księży rozwija się, wbrew zaleceniom ewangielii, namiętne przywiązanie do pieniędzy. Do jakiej zaś miary namiętność ta rozrasta się, widzimy ze spuścizny po świeżo zmarłym prymasie węgierskim Simorze. Znaleziono w jego pracowni: 4,000 sztuk dziesięciocentówek, 7,000 złr. w pięcio-guldenowych i 5,000 złr. w guldenowych banknotach; 123 sztuki srebrnych guldenów i 55 sztuk monety złotej, różnej wielkości; 359 dukatów węgierskich. 500 pięcio-guldenowych i 100 sto-guldenowych banknotów; talar srebrny, markę, cwancygier węgierski i starą 10-centową sztukę monety; w sześciu workach, w każdym po 500 sztuk 20-frankówek; w osobnej sakiewce 346 dukatów węgierskich; w woreczku 1,000 dukatów węgierskich; w puszce 400 dukatów węgierskich i w papierach 1,000, 100 i 50-guldenowych 321,000 złr. Dalej 27 książeczek kas oszczędności tak austryackich, jak i węgierskich, pod różnemi nazwiskami wystawionych na 1,035,678 złr. 20 cent. W sypialni, w osobnej szkatułce znaleziono 2 tysiącoguldenowe, 28 stuguldenowych i dwa 50-guldenowe banknoty; w puszce 42 dukaty węgierskie, 25 sztuk 25-frankówek, dukat z czasów Maryi Teresy, 362 napoleondorów i 78 złr. 60 centów w rożnej monecie. Tak wygląda uroczyście ślubowane ubóstwo i pogarda dóbr ziemskich. Zauważyć należy, że ten skarbiec kardynalski świadczy nietylko o zbieraniu majątku, ale o ukochaniu pieniędzy jako pieniędzy.

### Puszkin i Mickiewicz.

*Warszawskij Dniewnik* drukuje wspomnienia L. Pawliszczewa, dotyczące śmierci Puszkina, który, jak wiadomo, zginął w pojedynku z D'Antesem, jakoby zbyt blizkim wielbicielem swej żony. Autor, broniąc żonę poety od wszelkiego zarzutu niewierności mężowi, w wątku bajek, osnutych na tym wypadku, pomieszcza jedną, która miała obiegać Warszawę, a według niego była niedorzecznem zmyśleniem. Opowiadano mianowicie, jakoby Mickiewicz, mszcząc się za śmierć Puszkina, zastrzelił D'Antesa w Paryżu.

### Sumienna statystyka.

Mieszkańcy Gdańska podali prośbę do konsystorza, ażeby przywrócił nabożeństwa dla polaków. Na zapytanie jego o liczbę wyznawców tej narodowości, odpowiedziano (jak donosi *Kuryer codz.*), że w Gdańsku mieszkają tylko „dwie stare baby polskie." Zarządzone wszakże sprawdzenie wykazało, że tam polaków jest 6—7,000 — drogą też łaski przyznano im jedno kazanie polskie na miesiąc. Jeżeli statystyka jest wogóle lasem, który tak odpowie echem, jak w nią krzyknąć, to cóż ona warta, jeżeli w tym lesie siedzą tego rodzaju wilki?

### Kołowrot.

Sprawa o zabójstwo Wisnowskiej sądzoną będzie w styczniu — sprawa o zabójstwo Wisnowskiej sądzona będzie w lutym—obrońca Barteniewa Plewako wkrótce przyjedzie z Moskwy — obrońca Bartieniewa przyjechał — sprawa będzie odłożoną, gdyż dzieci obrońcy zachorowały na błonicę — termin sprawy o zabójstwo Wisnowskiej został oznaczony—bilety wydaje kancelarya prezesa sądu okręgowego — natłok żądających ogromny — rozdano kart 200—300—500 skład sędziów jest następujący— Plewako przyjechał z Moskwy — skład sędziów zmieniony — obrońca Barteniewa jutro dopiero przyjeżdża — itd. itd. od siedmiu miesięcy kręci się ten kołowrot w prasie warszawskiej, rozmamiętniając jednych chęcią dostania się do sali sądowej, obrzydzając innym cały ten proces, który codzień im się przypomina, dokucza rano i wieczorem, zaprząta myśl i wydziera z piersi rozpaczliwe życzenie: Ach żeby już raz rozstrzygnięty został ten proces o zabójstwo Wisnowskiej! Jeżeli dłużej potrwa zwłoka, straszne *Kuryery* nas zadręczą. Nareszcie w chwili, kiedy ten numer dojdzie do rąk czytelników, ma spaść zasłona na ten umiłowany przez reporterye dramat.

## NA WIDNOKRĘGU.

Rozgmatwywanie supełków historycznych. — Parcelacya w Zamojskiem. — Długi chłopskie. — Recepta p. Leonarda Zaleskiego. — Możliwe jej skutki.

Powoli pęta serwitutowe spadają tu i owdzie z prywatnej własności ziemskiej. Korespondent *Gazety lubelskiej* z Opola donosi, że „w żadnej może części naszego kraju sprawy serwitutowe nie posunęły się tak naprzód," jak właśnie w jego okolicy. Podobno tam nie wiele już do roboty pozostało. Z 31 wsi i miasteczek, należących do połowy dóbr opolskich p. Władysława Kleniewskiego, tylko dwie wsie jeszcze dotąd nie ułożyły się o służebności, reszta już cieszy się własnością niezaprzeczalną. „Majątki włościan podniosły się znakomicie, a z drugiej strony księgi hypoteczne właścicieli oczyściły się z nalecia łości 1864 r. W drugiej połowie dóbr opolskich (własność p. Jana Kleniewskiego) także już bardzo mało do uregulowania pozostało — nie mając wszakże pewnych danych, nie wykazujemy ich tu liczebnie. W okolicy także wiele majątków już się uporządkowało; rozległe dobra Józefów hr. Platera wykończają układy z muruderami, gdyż znaczniejsze wsie i zamożniejsi gospodarze już się ułożyli i odseparowali." Nie dość tego. W dobrach Kaliszany zupełnie już sprawa ze służebnościami jest ukończona. To samo w dobrach Piotrowin, Kamień, Karczmiska, Kębło, Wesołów, Wojciechów i Godów. W otoczeniu dwumilowem Opola serwitutów już prawie niema.

Nie wiem, jak gdzieindziej rozplątywane są te supełki, przez historyę zadzierzgnięte, ale sądzę, że wkrótce ta czynność będzie coraz gorączkowiej dokonywaną. Przyczyna leży w Banku włościańskim, który obudził nadzieje zarówno u włościan, jak i ziemian, a spełnić je może tylko pod tym warunkiem, jeżeli z pola jego działalności usunięte będą chwasty, które na niem przeszłość zasiała. Każda więc szachownica i każdy serwitut unicestwione tranzakcyą ugodową wsi z dworem — zbliżają radosną dla pierwszego i ostatniego chwilę, kiedy Bank rozpocznie na dobre rozłupywanie wielkiej i średniej własności na drobną.

Nim to nastąpi, Zamojskie już ogarnia „gorączka kolonizacyjna" (!). Korespondent *Gazety lubelskiej* stamtąd utrzymuje, iż w tym powiecie prawie połowa właścicieli ziemskich marzy o kolonizacyi miejscowej. Niema podobno tam takiego, który by nie myślał, jeśli nie o całkowitem rozparcelowaniu swego majątku, to przynajmniej o odprzedaniu włościanom jakiego kawałka gruntu, żeby w ten sposób wybrnąć z długów. Obecnie w Zamojskiem rozparcelowaną została cała wieś Teodorówka i w dwóch trzecich inne folwarki (ile?) — a wszystko przez włościan miejscowych, którzy płacą od 60 do 100 rs. za mórg 300-prętowy, stosownie do żyzności ziemi. Majątki Płonka, Gruszka, Sułów rozpoczęły już rokowania o parcelacyę. P. Tarcza, który o tych faktach donosi, nic nie mówi ani o rozmiarach majątków rozparcelowanych i mających jeszcze uledz rozdrobnieniu, ani nie określa bliżej położenia ekonomicznego włościan, którzy w tej sprawie biorą udział, ani nie wchodzi w szczegóły o przeciętnych cenach gruntu w opisywanym powiecie — wszystko to zostawione jest, według zwyczaju wielu korespondentów „siedzących na roli," domysłowi. Ponieważ powiada, że operacyom Banku włościańskiego stoją na zawadzie służebności, przypuścić więc można, iż włościanie, parcelujący rzeczone folwarki, robią to własnymi środkami, czyli należą do zamożnych gospodarzów. Gdyby inaczej być miało, jeżeli to są małorolni, znaczyłoby, iż zawczasu już pracują na rzecz lichwiarzy wioskowych.

Długi prywatne — to nieodstępne brzemię, kula u nogi chłopa, niepozwalająca mu nigdy przestąpić progu „raju parcelowego" ideologów, piekła — rzeczywistości. Właściciel majątku Wysokie w kolskim powiecie, kaliskiej gub., p. Leonard Zaleski, znajduje na tę chorobę lekarstwo w kredycie długoterminowym dla włościan. Apteką, która ma go udzielić, jest Towarzystwo kredytowe ziemskie, receptą zaś tymczasem będzie memoryał projektodawcy. Zanim przeczytamy receptę, posłuchajmy wprzód dyagnozy samej choroby.

„Z danych, zaczerpniętych z akt rejentalnych kolskiego powiatu widać — mówi memoryał — że włościan, posiadających ziemię, obciążają długi prywatne w sumie 258,000 rs. za 1888 rok; lecz mając na uwadze, że prawie połowa włościan umie podpisywać swoje nazwiska i ci nie dają zobowiązań rejentalnych, lecz tylko rewersy lub weksle, i że długi włościan, wypływające z podziału rodzicielskich osad i z aktów kupna i sprzedaży, wypływają z aktów, sporządzonych przed kilku laty i według warunków pożyczkowych są odkładane przez lat kilka, można przyjść do wniosku, że długi włościan powiatu kolskiego dochodzą do 2,000,000 rs."

Od tej sumy płacą oni 10% rocznie. Dawniej od 1864 do 1884, kredyt długoterminowy był im niepotrzebny. Mając z ziemi dobry dochód, nie tylko nie potrzebowali pieniędzy, lecz robili oszczędności, które w jednym tylko powiecie kolskim, w powyższym okresie czasu, dały im możność wykupienia od niemców-kolonistów i obywateli — gruntu za sumę 5,000,000 (!). Od roku 1884 dobrobyt ten chyli się ku upadkowi. Obecnie w każdym powiecie gub. kaliskiej można naliczyć śród włościan bezrolnych kilkuset, którzy przed kilku jeszcze laty mieli osady od 3 do 10 morgów. Liczba ich zwiększa się z każdym rokiem.

Taki stan rzeczy skłonił właśnie p. Zaleskiego do przedstawienia kaliskiemu wydziałowi gubernialnemu do spraw włościańskich memoryału o dopuszczeniu włościan do udziału w Towarzystwie kredytowem ziemskiem na równi z obywatelami. Ponieważ włościanie na swoje ziemie mogli zaciągać tylko drobne pożyczki, od 300—2,000 rs., przeto słusznie projektodawca uważa, iż tak otrzymywanie pożyczek, jak i spłata rat półrocznych winny być znacznie ułatwione. To zaś stać się może, jeżeli: 1) Włościanie urządzą dla swoich osad hypotekę powiatową. 2) Książki hypoteczne już rozkolonizowanych majątków, jako też i oddzielne książki hypoteczne cząstkowych właścicieli rozkolonizowanego majątku, gdyby nawet na tych działach ciążyła pożyczka T. kr. z., otrzymana już uprzednio przez włościanina — będą oddane do przechowania w powiatowych wydziałach hypotecznych. 3) Ogłoszenia o urządzeniu nowej hypoteki i korespondencye o spadkach osad po śmierci właścicieli będą drukowane tylko w miejscowych *Wiadomościach gubernialnych* i ogłaszane przez wójta gminy w zebraniach gminnych. 4) Przy urządzaniu hypotek dla właścicieli nie będą za-

prowadzano przez sekretarzy wydziałów hypotecznych dla osad książki drogie, lecz zwyczajne zeszyty w taniej oprawie. 5) Opłata rejentalna przy zaciąganiu pożyczki będzie zmniejszona o połowę w stosunku do zwykłej taksy. 6) Wszystkie czynności tyczące się urządzenia hypoteki włościańskiej, jak i udzielenia pożyczek, będą załatwiane darmo. 7) Oceny gruntów włościan żądających pożyczki dokonywane będą przez delegata T. kr. z., mieszkającego razem z pożyczkobiercą w jednej gminie lub przynajmniej w jednym obrębie sądu gminnego. 8) Na delegatów T. kr. z. będą wybrane lub mianowane osoby pochodzenia włościańskiego, które ukończyły kurs nauk średnich lub niższych w rządowych zakładach naukowych, w razie zaś ich braku — przynajmniej właściciele ziemscy z elementarnem wykształceniem. 9) Raty amortyzacyjne płacone będą przez włościan w kasach powiatowych na rachunek Towarzystwa. 10) Osady dłużników nieakuratnych sprzedawane będą w hypotece powiatowej w obecności delegata powiatowego T. kr. z.

Memoryał swój oparł p. Z. na „długoletniem doświadczeniu i rzetelnych danych,“ co zdaje się w ustach fachowca nie jest pustym dźwiękiem. Jaki los spotka ten projekt, przyszłość pokaże. Zaznaczę tylko to, że gdyby marzenie p. Z. zostało urzeczywistnione, bylibyśmy świadkami doniosłego zdarzenia w naszem życiu społecznem: z masy włościan wydzieliłaby się jeszcze wyraźniej gromadka ziemian-chłopów, któraby powiększyła szeregi obecnego ziemiaństwa. Naturalnie, znaleźliby się tutaj przedewszystkiem ci, którzy pod względem ekonomicznym już obecnie przerośli główną rzeszę wioskową i prawie mierzyć się mogą obszarem ziemi posiadanej z niejednym dziedzicem dworskim, mianowicie — skupywacze ziemi.

*Z. Atanazy.*

## KRONIKA.

**Sprawy społeczne.** Biuro informacyjne nędzy wyjątkowej w Warszawie uzyskało w ciągu stycznia z ofiar dobrowolnych 1,810 rs. 30 kop. i wsparło w tym samym czasie 558 rodzin.

— Na drugiem posiedzeniu ogólnego zebrania komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego rozpatrywano projekt utworzenia kasy przezorności i pomocy, która ma zastąpić istniejącą dotychczas radę gospodarczą funduszu pożyczkowego urzędników i oficyalistów instytucyi. Według ostatecznie opracowanej ustawy, na utworzenie kasy składają się: 1) fundusz na wynagrodzenia przy wyjściu ze służby urzędnika; 2) składka 2% rocznie od etatowej płacy urzędników; 3) reszta pozostała z funduszu na wsparcia i wpisy; 4) ofiary dobrowolne; 5) wpływy nieprzewidziane; 6) wkład 2% od pobieranej płacy; 7) fundusz stanowiący własność urzędników, pozostający w zawładywaniu dotychczasowej rady gospodarczej; 8) pięciodniowa przewyżka pensyi przy każdym awansie; 9) 5% od wszelkich gratyfikacyj; 10) pięciodniowa płaca od tych, którzy otrzymali ją poraz pierwszy w Towarzystwie. W razie śmierci uczestnika, fundusze jego, złożone w kasie, przechodzą na rzecz spadkobierców. Kasa udzielać będzie pożyczek, spłacanych jednorazowo lub ratami miesięcznemi w ciągu dwóch lat. Ustawę zatwierdziła dyrekcya główna.

— Pisma petersburskie donoszą, iż w związku z projektem przepisów o stosunku majstrów do terminatorów powstała myśl utworzenia specyalnych opiek, złożonych z członków instytucyj dobroczynnych. Czuwać one mają nad regulowaniem stosunków majstrów do podwładnych.

— Koncert Namysłowskiego (orkiestra włościańska) na rzecz ubogich cyrkułu XI przyniósł 124 rs. 80 kop.

— W dokach liverpolskich wybuchła zmowa, do której przystąpiło kilka tysięcy robotników.

— W Raciborzu policya pruska zabroniła przedstawienia polskiego teatru amatorskiego.

— Baron Hirsz ofiarował 12 milionów fr. zarządowi emigracyi żydowskiej do Ameryki. Jeśli procenty nie wystarczą, zarząd może użyć kapitału, który w miarę wyczerpywania ofiarodawca będzie dopełniał.

**Szkoły.** Pozwolono otworzyć w Warszawie ogródki dziecięce pp. Helenie Borowskiej, Natalii Domnik, Maryi Mieczko i Natalii Słonczyńskiej.

— We wszystkich uniwersytetach ruskich w ubiegłym roku akademickim ukończyło wydziały medyczne i Akademię lekarską 775 studentów: 90 z dyplomem doktora medycyny, 685 — ze stopniami lekarza.

— Do Rady państwa wkrótce wniesiony będzie projekt kasy emerytalnej dla nauczycieli szkół elementarnych i ludowych w całem państwie. Terminy, dające prawo do emerytury: 15, 20, 25 lat.

— Budżet szkoły technicznej kolei Wiedeńskiej wynosi 17,000 rs. rocznie; dochód z opłat szkolnych przewidywany jest na 697 rs. 50 kop., dopłaty ze strony Towarzystwa kolejowego — 16,302 rs. 50 kop.

**Sprawy kolejowe.** Według sprawozdania kasy zaliczkowo-wkładowej dla urzędników i oficyalistów kolei Terespolskiej, na początku I półrocza uczestników było 276, w końcu zaś półrocza — 318. W dn. 31 grudnia wkłady członków wynosiły ogółem 13,600 rs. 20 kop. W ciągu półrocza sprawozdawczego udzielono pożyczek 288 uczestnikom na sumę rs. 17,569 kop. 5.

— Na utrzymanie domu inwalidów kolejowych zarząd drogi Wiedeńskiej przeznaczył na r. b. 3,800 rs.

— Dn. 17 b. m. odbyła się w Warszawie narada przedstawicieli wszystkich kolei w Królestwie dla obmyślenia dogodniejszej dostawy bydła stepowego i nierogacizny, przewożonych przez Warszawę sposobem tranzytowym.

**Wystawy.** Od 1 maja do 1 września będzie trwać w Dreznie wystawa ceramiczna.

— Z powodu 400-ej rocznicy odkrycia Ameryki, we wrześniu odbędą się w Madrycie dwie wystawy sztuki i narzędzi rzemieślniczych, jakie znajdowały się w Ameryce w epoce jej odkrycia.

— Tow. Wolno-Ekonomiczne w Petersburgu przyznało wielki złoty medal hr. M. Potockiej za kolekcyę nasion, przysłaną na wystawę rolniczą z Wysokiego Litewskiego.

— Jeden z zamożnych właścicieli ziemskich, p. Sz.— jak donosi *Kur. warsz.* — przeznacza 500 rs. na koszty urządzenia wystawy pedagogicznej w Warszawie.

— Znany podróżnik, dr. Holub, urządza w kwietniu w Praterze wiedeńskim wielką wystawę południowo-afrykańską.

— W przyszłym miesiącu Rzym urządza wystawę win i wódek włoskich.

— Dn. 21 lutego r. b. w Smoleńsku będzie otwarta wystawa lnu i zjazd gospodarzów, zajmujących się uprawą.

— Podczas wystawy francuskiej w Moskwie, cztery komisye francuskie będą badały Rosyę pod względem ekonomicznym i przemysłowym.

**Wiadomości literackie.** W zeszycie styczniowym miesięcznika ruskiego „Kolosja“ z r. 1889 znajduje się komedya p. t. „Cwiety zapozdałyje“ przez Wł. Trunoszewskiego. Jest to przekład dosłowny „Małżeństwa Apfel“ Kazimierza Zalewskiego, podany przez T. za utwór własny.

— W Petersburgu od połowy b. m. zacznie wychodzić nowe pismo p. t. *Wozduchopławatiel* (Aeronauta).

— W Rzeszowie zaczęła wychodzić *Gazeta Rzeszowska*

— We Lwowie powstało pismo humorystyczne p. t. *Kikeryki.*

**Pożar** zniszczył remizę kolei Nadwiślańskiej na stacyi Praga, przyczem 8 lokomotyw uległo uszkodzeniu. Stratę obliczono na 200,000 rs.

**Zmarli.** Jakób Dawidsen w Kopenhadze, jeden z najstarszych dziennikarzy duńskich.

— General William Sherman, w Waszyngtonie. Był najznakomitszym wodzem armii północnych Stanów Zjednoczonych podczas wojny z Południem. Później był naczelnym wodzem wojsk od r. 1868 do 1883.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Panu Z. Br. w Pruszk.* 1) *Ekonomia* wydana przez *Prawdę* oraz świeża Iwaniukowa; 2) L. w naszym handlu księgarskim nie ma; 3) Marxa przetłomaczono: *Kapitał*, *Pisma pomniejsze* trzy tomy.

**Uwaga.** Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 8 Февраля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.